

MERKVRYVSZ POLSKI ORDYNARYINY

Dzieie wszytkiego świata w sobie za-
mykaiący dla informacyey popolitey
Założony w roku 1661

GAZETA TYGODNIOWA

Ten zeszyt
ma 48 str.



EDMUND PŁOSKI
proletarjczyk i nacjonalista

OD WYDAWNICTWA

Bieżący zeszyt MERKURYUSZA jest ostatnim w tym roku. Dlatego wydajemy go w objętości zwiększonej.

Wedle zimnej, kupieckiej kalkulacji, w tym roku powinien wyjść jeszcze jeden zeszyt. Ale, Kochani Przyjaciele: już się na nas nie gniewajcie, nie rachujcie się z nami jak żydzi, i my chcielibyśmy mieć święta. Zresztą wiemy, że nam wybaczycie, nikt z Was bowiem nie jest zimnym katem, któryby sobie przez całe święta po kominach łąził, wódę trąbił i żeby mu to humoru nie psuło, że tam w pustej redakcji siedzą tamci i tłuką w maszyny, żeby oni mieli co czytać. Zresztą, przecież wydajemy zeszyt zwiększony!

Nie mówmy więc już o tem, jeszcze raz Wesołych Świąt i do zobaczenia (następny zeszyt, noworoczny, z datą 1 stycznia 1939 r. ukaże się zaraz po świętach, na jakie dwa, trzy dni przed Nowym Rokiem).

A w roku 1939, ponieważ pismo świetnie idzie, będziemy od czasu do czasu wydawać zeszyty zwiększone.

zliwości. Bez wystrzału, bez rozlewu krwi Niemcy zdobyli tereny o 11 milionach ludności. O ileż więcej krwi i pieniędzy kosztowała Rzym Abisynja i wyprawa hiszpańska.

Nie znaczy to, by Włochy miały jakiś kompleks niższości wobec swego potężnego sojusznika. Nie, Italia fascystowska wierzy w siebie. Słusznie też przypisuje ona sobie ojcostwo tych idei, które stanowią dziś podstawę ustroju „Wielkich Niemiec“. Jest jednak osłabiona wielkimi wysiłkami, a jej potencjał naturalny jest o połowę mniejszy od niemieckiego.

Toteż Włochy musiały patrzeć spokojnie, jak Hitler rugował ich wpływy polityczne z Europy Środkowej. Ich postulaty w sprawie granicy polsko - węgierskiej nie zostały przez Hitlera uwzględnione. Osławiona „wierność niemiecka“ („deutsche Treue“) zawiodła. Mussolini nie oczekiwał się rewanzu za stanowisko w sprawie Anschlussu, za pomoc w sprawie czechosłowackiej, za Monachjum wreszcie, kiedy to wyciągnął z matni przyjaciela. Mogło to w nim obudzić pewną gorycz. Bo przecież nie tak dawno Führer depeszował do nie-

go z emfazą: „Mussolini, nigdy panu tego nie zapomnę“.

Wytarły się buksy osi Berlin—Rzym. Min. Ribbentrop wypił zdrowie Dala dier'a w Paryżu, a Mussolini w odpowiedzi na to zaczął się dogadywać z Chamberlainem. I oto mamy kampanję antyfrancuską Włoch w sprawie kanału sueskiego, Dżibutti, Tunisu i Korsyki. I oto Anglja „doradza“ francuzom, by poszli na ustępstwa. Maluczko, a przyleci do nich Chamberlain na swoim historycznym samolocie. Dobrze im tak. Mają za to, że posyłają „generała“, gdy któryś z ich sojuszników znajdzie się w opresji.

WÓZ, OSIE I DYSZEL

Wóz europejski ma dwie osie: Paryż — Londyn i Rzym — Berlin. Ale wóz grzęźnie i nie może wyjechać z topieli, bo każda oś zdąży w innym kierunku. Ale to jeszcze nie wszystko. Każda oś ma dwa koła. Mamy więc razem cztery elementy t.zw. wielkiej polityki europejskiej. Między temi czterema elementami mogą zachodzić różne kombinacje. Może iść Paryż z Berlinem, a Londyn z Rzy-

mem. Może też zdarzyć się tak, że Rzym do spółki z Paryżem stanie na przeciwko Londynu flirtującego z Berlinem. Ba, mogą być jeszcze różne postacie kombinacji: trzech przeciw jednemu.

Taki właśnie kontredans polityczny obserwujemy w obecnej chwili. Z trzech figur prostych A, B, C, mamy przed sobą teraz figurę drugą. Jakakolwiek jednak konstelacja pojawia się na firmamencie politycznym, o jeździe wozem nie może być mowy. Mussolini czuje to i dlatego wraca wciąż do swej „ideé fixe“, której na imię: pakt czterech. Ale i toby nie pomogło. Bo, proszę państwa, dyszla niema. A dyszel, proszę państwa, to

Polska. Bez Polski mocarstwa nie wyciągną Europy z kałuży.

LE CZ OŚ NIE PĘKNIE

Partnerzy osi Rzym — Berlin szachują się nawzajem, gdy zajdzie tego potrzeba. Bo obaj aspirują do roli przywódców nowej Europy, co ich stawia wobec siebie w pozycji rywali. Ale nie bójmy się, oś i tak nie pęknie. Zbyt wielkie korzyści przynosi kontrahentom. Choć w r. 1938 wszystkie zyski ciągnie z niej Hitler.

Zobaczymy jakie stanowisko zajmie on ostatecznie w sprawie Tunisu. Podobno Ribbentropp uspakajał dyskretnie francuzów, że w tej grze chodzi tylko o kanał sueski, gdzie — jak wiadomo — włosi żądają miejsca

GWIAZDKA

pod znakiem

ELEKTRYCZNOŚCI

Sprzedaż ratalna grzejników elektrycznych w Salonie Elektrowni Miejskiej, Marszałkowska 150

w zarządzie, udziału w dochodach i kontroli. Trudno przypuścić, jednak, by Hitler okazał się tak niełojalnym i opuścił sojusznika w potrzebie. Myślę raczej, że pocichu poprze on Mussoliniego, gdyż ten kierunek ekspansji włoskiej nie szkodzi w niczem niemieckim interesom. Jeżeli doszło do „uzgodnienia“ stanowisk obu państw w sprawie Rusi Zakarpackiej, to niewątpliwie była mowa o jakimś podziale na sfery wpływów: Wy nam zostawcie Europę Środkową, a my wam pomożemy w Afryce i na Morzu Śródziemnym.

CO CI ZNÓW WYRABIAJĄ

Czesi nie są jednak inteligentni, wbrew temu, co się mówi o ich trzeźwości, praktyczności, „zdrowym rozumie“. Polak przynajmniej „mądry po szkodzie“, a oni i po szkodzie zostają tacy sami jacy byli. Okrojeni i osłabieni tkwią ci nieszczęśliwcy w paszczy niemieckiej. Mogliby więc pomyśleć o przyszłości, zarezerwować sobie coś na wypadek, gdyby przytrafiła się okazja wybrnięcia z tak fatalnej sytuacji. Ostatecznie Polska nie wyrządziła im żadnej krzywdy, bo wzięła—z podziwu godnym umiarkowaniem — mały skrawek ziemi, który jej się słusznie należał (w każdym razie słuszniej, niż Niemcom Sudety).

Tymczasem czesi wciąż dyszą gniewem przeciwko Polsce, mizdrząc się równocześnie bardzo niepolitycznie do Niemiec. Teraz naprzykład wystawili w Morawskiej Ostrawie olbrzymią mapę świetlną, na której widnieje „Wielka Ukraina“, z ziemiami wchodzącymi w skład Rzeczypospolitej.

Jeden djabeł wie, jak rozumują ci ludzie. Jeżeli już godzą się na plan niemiecki rozbicia Rosji, w której dotąd widzieli ostoję, to jakież dla nich interes w osłabieniu Polski, jedynej siły, która może ich kiedyś wyzwolić z jarzma niemieckiego?

SMUTNE PROSTACTWO

W „Polonji“ katowickiej jakiś dziwny typ piekła się na mnie—za to, że nazwałem Codreanu pomazańcem Opatrzności, a na MERKURYUSZA za to, że nie lubi Rumunów. Trzeba być doprawdy wyzutym z wrażliwości sumienia i serca, żeby nie zareagować na mord iście bolszewicki, dokonany na młodym wodzu narodowej Rumunii. I trzeba prostactwa ostatniej marki — że już nie powiem gorzej—żeby w ten sposób pisać o zamordowanym.

Gorzej, że jest to człowiek nieuczciwy. Nie wspomina, że wśród mnóstwa pism polskich, które, w podobnym tonie co my, pisały o śmierci Codreanu, jeden tylko MERKURYUSZ zrobił wyraźne zastrzeżenie: „Cornelius Codreanu zawinił może w niejednym, przelał zbyt wiele krwi w swej porywczoci młodzieńczej“. Ja mam poczucie odpowiedzialności za swoje słowa. Nie mogę natomiast powiedzieć tego o napastniku z „Polonji“.

Problem, czy Codreanu był lub nie był pomazańcem Opatrzności nie nadaje się do dyskusji gazetowej. Są to rzeczy zbyt poważne i głębokie, by je omówić z byle kim, nieznanym nawet z imienia i nazwiska.

Br.

OKÓLNIK ŻELAZNEJ GWARDJI

Otrzymaliśmy z Bukaresztu okólnik w języku francuskim. Dajemy niżej dosłowne tłumaczenie:

Judeo - masonski rząd rumuński ogłosił komunikat, według którego 118 legio-

Nowość!

Dr. Mirosław Orłowski

GOSPODARSTWO WOJENNE

Str. 165

Ceno 5 zł.

nistów więzionych w Vaslui miało rzekomo podpisać oświadczenie, iż śmierć ich wodza przyczyniła się w znacznej mierze do polepszenia warunków, w jakich od kilku lat się znajdują. Komunikat rządowy dodaje, iż w związku z tem oświadczeniem zastosowano złagodzenie rygorów więziennych wobec owych 118 więźniów.

Aby komunikat rządowy nie wprowadzał opinii w błąd, Komenda Legjonów wyjaśnia co następuje:

1) regulamin Gwardji Żelaznej upoważnia każdego legionistę do podpisywania wszelakich oświadczeń w y m u s z o n y c h p r z y p o m o c y t o r t u r; wyjątek stanowią tylko te oświadczenia, któreby mogły pogorszyć sytuację ogólną bądź też doprowadzić do aresztowania towarzyszy;

2) w dniu 1-ym listopada 1938 roku w więzieniach rumuńskich znajdowało się ponad 18.000 legionistów; z tej liczby, jak to stwierdziliśmy, 80 legionistów zmarło wskutek stosowanych tortur, a mianowicie tortury „teaska“, wprowadzonej ustawowo przed ośmiu miesiącami do wszystkich więzień rumuńskich. Z pośród 80 zamęczonych w ten sposób legionistów — jedenastu zmarło w więzieniu Vaslui, słynnem z największych okrucieństw. Jest rzeczą niewątpliwą, iż liczba ofiar znacznie wzrosła w ciągu ostatnich tygodni;

3) generał Antonescu został pozbawiony dowództwa korpusu za potępienie złego traktowania legionistów, więzionych w jego okręgu wojskowym.

Bukareszt, 7 grudnia

Dowództwo Legjonów
(pieczęć)

*

Jak było do przewidzenia, ani jedno czasopismo demo - liberalne w Polsce nie zaprotestowało przeciwko masowemu egzekucjom w Rumunji.

RZYM ZAŻĄDAŁ...

Kiedy z Rzymu nadeszły depesze o manifestacjach ulicznych, o okrzykach „Żądamy Tunisu! Żądamy Korsyki! Żądamy Dżibuti! Żądamy Sabaudji!“ — odrazu było widać, do czego to wszystko zmierza.

W polityce niema cen stałych. W polityce prowadzi się targ, jak za Że-

lazną Bramą. Żąda się dziesięć złotych, a poprzestaje się na złotówce. I w rezultacie obie strony są zadowolone.

To samo będzie z targami włosko - francuskimi. Już sam fakt, że Mussolini wysunął kilka żądań, świadczy o bliskim skonkretyzowaniu jednego żądania.

Streścimy się: manifestacje uliczne w Rzymie, a przede wszystkim wystąpienie w parlamencie włoskim, wszystko to było wyreżyserowane za wczasu. Włosi zażądali Tunisu, Korsyki, Dżibuti, Sabaudji, Nicei i pakietu akcji kanału Panamskiego.

Narazie potrzebują kolei żelaznej Dżibuti - Addis Abeba. Nie mogą wszak wiecznie jeździć wagonami francuskimi do stolicy Etjopji. I na tem chwilowo poprzestaną. Korsykę, Sabaudję i tak dalej dodali jak ów dobry kupiec, który poto ceni, aby mieć z czego opuścić.

DŻIBUTI

Jak to się stanie i czem handel będzie upozorowany, to już rzecz drugorzędna. Jedno jest pewne, że włosi wytargują kolej Dżibuti wraz z przylegającą okolicą, zwaną francuskim krajem Somali. Załatwienie formalności ułatwi fakt, że kraik ten jest właściwie tylko pod protektoratem francuskim.

Port Dżibuti wraz z okolicą był wzięty w dzierżawę przez francuzów w roku 1896, przyczem rząd francuski wypłacał raty szejkom mużułmańskim, odnawiając kontrakty i powiększając administrowane terytorjum. Dziś szejkowie są poddanymi Rzymu, a umowy dzierżawne stały się przedmiotem roztrząsań prawników rzymskich.

Dla świętego spokoju, Francja odstąpi Włochom kolej Dżibuti i cały ten kraik, który i tak będzie skolonizowany przez włosów.

Po załatwieniu tej sprawy, zaczął się gawędy o akcjach kanału Panamskiego. Ale na to jeszcze zaczekamy.

DO DYMISJI JOUHAUX!

No, nareszcie, bo to już było denerwujące. Towarzysz Leon Jouhaux, przywódca czerwonych związków zawodowych we Francji, organizator strajków okupacyjnych, dostał dymę. I jeszcze jaką! Aż jęknął ze zgrozy.

Daladier pozbawił go za jednym zamachem kilku posad. Odebrał mu stanowisko wice - gubernatora Banku Francji, odebrał mu stanowisko dyrektora kolei państwowych (są i prywatne), odebrał mu stanowisko prezesa w zarządzie kopalni rud cynkowych w Nigerji i t.p.

Jak widzimy, posadki były niezłe i ten ruchliwy socjalista nie cierpiał głodu ostryg. Zresztą i teraz źle mu nie będzie, bo syna wprowadził do interesów, wykształcił go na handlarza bronią. Po opuszczeniu więzienia w Belgji, Jouhaux - senjor znów się wziął do handlu.

Tak, tak, na barykady ludu robotczy. A rodzina Jouhaux dostarczy karabinów.

SĄ SĘDZIOWIE

Są jeszcze sędziowie we Francji, nie boją się prawdy i nie zamykają drzwi, choć to jest dla rządu nieprzyjemne.

Toczy się obecnie w Paryżu proces o zamordowanie rosyjskiego generała Millera, przywódcy emigrantów. Wyszło na jaw, że starzec był zabity w lokalu wynajętym przez sowiecką misję handlową, że trupa załadowano na samochód ciężarowy i przewieziono do Hawru, skąd zwłoki odpłynęły na parowcu z czerwoną banderą „Marsja Uljanowa“.

Szczegóły te ustalił komisarz policji Chauvineau, za co minister spraw wewnętrznych p. Dormoy ukarał go surowo, przeniósłszy na stanowisko podrzędne.

Gdy wysunięto projekt wysłania torpedowca w pościg za okrętem „Marsja Uljanowa“, minister spraw zagranicznych Yvon Delbos zajął się tą sprawą dopiero po upływie dni siedemnastu! Parowiec był już wówczas w porcie petersburskim.

Nas, polaków, proces paryski zajmuje z tego względu, że jednym z aranżerów morderstwa był któryś z braci Eitingonów. Jak o tem pisaliśmy, Eitingonowie mają w Łodzi kilka fabryk, własny bank i kontrolują import bawełny do Polski.

Który z braci zamordował Millera?

DWAJ EKS - PREZYDENCI

Obrzydzenie bierze, kiedy się czyta o wybrykach pewnych gazet czeskich, jak „Vecer“, które żądają stawienia przed sądem byłego prezydenta Benesa.

„Vecer“, co to do niedawna płaszczył się przed Beneszem, dziś nazywa go wrogiem Czechosłowacji Nr. 1.

Zawsze byliśmy zdania, że czesi nie dorośli do samodzielnego bytu państwowego, że na niepodległość nie zasłużyli. Wolności nie zdobywa się szpiegostwem i zdradą, wolność trzeba wywalczyć.

Tak się złożyło, że zgórą od dziesięciu lat jestem sąsiadem byłego prezydenta Rzeczypospolitej, Stanisława Wojciechowskiego. Wszyscy pamiętamy jego dramatyczne przeżycia w maju 1926 roku, jego abdykację i odejście w zacisze domowe. Prezydent Wojciechowski ustąpił, i od tej chwili nikt się nie odezwał złem słowem o byłym dostojniku.

Jego wysmukłą sylwetkę widuję

dość często. Prezydent Wojciechowski chodzi codziennie około czwartej po południu do budki z gazetami obok pomnika Sopera i kupuje „Kurjer Warszawski“. Mieszkańcy kolonji Staszica, przy spotkaniu ze starcem, odkrywają głowy.

Jest jednak różnica między Czechami a Polską.

SMUTNY KONGRES

Ponieważ Bruksela jest gniazdem II Międzynarodówki, do której należy nasza PPS, każdy, kto chce się połączyć w nastrojach tej partji powinien czytać prasę brukselską, a przede wszystkim „Le Peuple“ (nasz bratni organ, jak powiada „Robotnik“).

Otóż w ostatnich numerach gazety „Le Peuple“ i w innych dziennikach brukselskich można było znaleźć sążniste sprawozdania z nadzwyczajnego kongresu POB (belgijskiej partji socjalistycznej), sprawozdania tem się różniące od zwykłych, że bardzo smutne. Bo też kongres obfitował w epizody wręcz dramatyczne, chwilami zaś zdawał się wróżyć upadek, krach, rozłam i to nietylko w samej partji, lecz i w Międzynarodówce.

Wszystko było smutne. Deszcz padał, zacinął zimny wiatr, czerwone sztandary na rdzawym gmachu Maison du Peuple wyglądały jak unurzane w błocie. A z ulicy de la Loi, gdzie mieści się ministerjum spraw zagranicznych, nadchodziły złe wieści.

ZŁE WIEŚCI

To zależy dla kogo. Złe były dla socjalistów, niewątpliwie. Zwołano bowiem kongres nadzwyczajny, aby zmusić socjalistycznego premjera Spaaka do zaniechania myśli o na-

wiązaniu stosunków dyplomatycznych z Burgos.

Spaak jednak zawiał się, na otwarcie kongresu nie raczył nawet przybyć, a gdy przywódcy partyjni łączyli się telefonicznie z jego gabinetem, odpowiadał stale:

— Nie mam czasu. Czekam na telefon od generała Franco. Być może, po godzinach urzędowych wpadnę do was na chwilkę.

Ranne posiedzenie kongresu przyniosło przedsmak rozłamu. Gdy Vandervelde, z właściwą sobie furją, zaczął napadać na Spaaka, niektórzy mówcy stanęli w obronie premjera. Podczas przerwy delegaci zeszli na piwo do bufetu, mieszczącego się na parterze. W tym to czasie z sali obrad usunięto kilka portretów, które działały drażniąco na część obradujących. Znikł ze ściany Paweł Pastur, wyniesiono też podobiznę starego Anseele, jednego z założycieli Międzynarodówki.

BURZA

Jeszcze przed południem nadeszła wiadomość, że kwestja wysłania przedstawiciela do Burbos jest już przesądzona. Zagadnięty o zdanie ambasador Hiszpanji czerwonej zapewnił socjalistów, iż wobec tego pakuje manatki i na znak protestu wyjeżdża do Barcelony. Obraził się, i istotnie wyjechał.

To spotęgowało ogólne zdenerwowanie. Wyszło przytem na jaw, że wśród uczestników kongresu socjalistycznego znajdują się dość liczni sympatycy powstańców hiszpańskich!

Vandervelde szalał i krzyczał, że wykończy Spaaka. A Spaak co pięć minut zapowiadał swój przyjazd i obiecywał, że wykończy „patrona“ Vanderveldego.

Koło godziny trzeciej po południu

delegat z Eecloo zaczął przemawiać po flamandzku, co spotkało się z głośną dezaprobatą walonów. W obronie krajana stanęli flamandowie i w rezultacie sala podzieliła się na dwie grupy narodowościowe. Okazało się przytem, że delegaci z Flandrji są zwolennikami nawiązania stosunków z rządem powstańczym, że popierają Spaaka, a delegaci z Walonji i Brabantu tkwią wiernie przy Barcelonie i radziby utopić Spaaka w łyżce wody.

Spaak zjawił się, lecz tylko na pół godziny, by zawiadomić kongres o nawiązaniu przez rząd stosunków z Burgos. Obrady zakończyły się gorszą awanturą, której opis znajdują Czytelnicy w naszym Przeglądzie Prasy.

ZMIANY W „MEIN KAMPF“

Gazety francuskie są zakłopotane. Zastanawiają się obecnie, jaką wartość ma papier podpisany w Paryżu przez pp. Bonneta i von Ribbentropa.

Tam, na zachodzie, podpisy niemieckie na świstkach papieru mają oddawna ustaloną sławę. Ale to nie wszystko. Oprócz tekstu zasadniczego sporządzono jeszcze tekst uzupełniający, pełen wzajemnych duserów. Obie strony zapewniają się o gotowości wymiany kulturalnej, o zacieśnieniu węzłów intelektualnych, o współpracy na niwie artystycznej i tak dalej. Pozatem, na co gazety francuskie zwróciły szczególną uwagę, pan Ribbentropp obiecał, czy też nawet przyrzekł solennie, że z „Mein Kampf“ będą usunięte wszystkie ustępy antyfrancuskie.

Jak to jest z ustępami w dziele p. Hitlera o Drang nach Osten?

VON RIBBENTROPP

Osobliwa karjera. Były komiwojażer od win szampańskich zaćmił najwybitniejszych dyplomatów niemieckich. Jak świecę zgasił von Papena i pogrzyżył w cieniu von Neuratha. A wszak obaj królowali nie tak dawno na Wilhelmstrasse, reprezentując starą niemiecką szkołę dyplomatyczną.

Może właśnie dlatego Ribbentropp tak przypadł do gustu Hitlerowi, że nie ma pojęcia o tradycjach dyplomatycznych, że jest człowiekiem zupełnie nowym, który swem postępowaniem oszałamia wytrawnych mężów stanu.

Ribbentropp jest grzeczny, układny, ma dobrze skrojony frak i nosi go z wdziękiem. Jako ełs - sprzedawca szampana en gros przyzwyczał się do wieczorowych strojów. Ale manjer przyjętych w świecie dyplomatycznym jeszcze nie nabrał, co mu nie omieszkała wytknąć prasa angielska. Podczas pobytu w Londynie p. Ribbentropp nie podobał się konserwatom, liberałom i socjalistom, czyli, krótko mówiąc — anglikom. Mimo wszystko został ministrem spraw zagranicznych Rzeszy niemieckiej i cieszy się zaufaniem Führera. Ostatni sukces paryski świadczy, że nadsekwańskie powietrze jest dla p. Ribbentropa badziej łaskawe od mgły londyńskiej.

C'EST PARIS!

W Paryżu odnalazł p. Ribbentropp dawnych przyjaciół, z którymi niegdyś wypił niejedną butelkę wina. Przedewszystkiem złożył wizytę markizowi de Polignac, swemu byłemu szefowi, albowiem przez kilka lat po

ARTYSTYCZNE

PODARKI

poleca **K. PĘCHERSKI**, Mazowiecka 2

Ceramika, metal, szkło, porcelana.

wojnie był jego współpracownikiem.

Pan de Polignac jest właścicielem winnic w Szampanji. Jego właśnie wina obecny minister Rzeszy wprowadzał na rynki południowo - amerykańskie. Od tych czasów datuje się zażyłość.

Zresztą, jako dobry Niemiec, p. Ribbentrop nie zapomniał i o winach niemieckich. Do miast w południowej Afryce wprowadzał szampan (oczywiście fałszowany, tak zwany „Sekt“). Wszystkie te podróże sprawiły, że się niezle otrząsał między ludźmi i przyzwyczaił się do noszenia fraka.

Nie tak dawno p. Ribbentrop nie podpisywał się „von“, tylko poprostu Ribbentrop. Trzy literki dodał do swego nazwiska po wstąpieniu do Jockey - Clubu w Berlinie. Kosztowało go to dość drogo, gdyż musiał zaopatrzyć się w stajnię, w parę koni, trenera, dżokeja i w popielaty cylinder pilśniowy.

KRAJ FARAONÓW

Na zakończenie dorocznego postu muzułmańskiego (ramadanu), król egipski Faruk wygłosił mowę, w której zwrócił się nie tylko do własnego narodu, jak to zwykł był czynić dotychczas, lecz do wszystkich mahometan świata.

Fakt ten przeszedł nie dostrzeżony przez publicystów europejskich, co wydaje się tem dziwniejsze, że dla Anglii, Francji i Włoch takie wystąpienie jest niesłychanie drażliwe. Te trzy mocarstwa walczą o pozyskanie świata arabskiego. Francuzi przyznali tubylcom w Afryce północnej liczne przywileje, o jakich dawniej nikomu się nie śniło. Anglicy prowadzą w Palestynie grę dwulicową, wstrzymując imigrację żydowską. Mussolini, podczas pobytu w Libji,

otrzymał od tamtejszej ludności symboliczny Miecz Islamu.

Dopiero teraz prasa francuska omawia wystąpienie króla Faruka, przypominając jednocześnie, że w Egipcie odkryto naftę, że dzielny premier egipski p. Mahmud - pasza zorganizował stutysięczną armję, zakłada fabryki amunicyjne, szkoli lotników i ma zamiar pozrywać traktaaty, które uzależniają Egipt od Wielkiej Brytanji.

PAN - AMERYKA

Dziewiątego grudnia rozpoczęły się w Limie, stolicy Peru, obrady kongresu pan - amerykańskiego. Inicjatywa, oczywiście, spoczywa w rękach Stanów Zjednoczonych, które lubią zwoływać takie zjazdy, ilekroć ich handel jest zagrożony. Wysuwa się wówczas hasło Monroego „Ameryka dla Amerykanów“.

Ostatni taki zjazd był przed dwoma laty, w Buenos Aires, ale nie dał szczególniejszych wyników. Teraz zmieniło się wiele. W ciągu owych dwu lat, kilka republik południowo-amerykańskich wystąpiło z Ligi Narodów. Republiki te zraziły się nie na żarty do tak zwanych „wielkich demokracji“, doszły do wniosku, że Genewa jest miastem bardzo kosztownym, a zyski z Ligi ciągnie przede wszystkim Anglija. I zdecydowały, by przerzucić się do innej ostateczności, czyli zbliżyć się do państw faszystowskich.

Brazylija, po pamiętnym przewrocie, wprowadziła ustrój wzorowany na narodowym socjalizmie niemieckim. Argentyna związała się ścisłym traktatem handlowym z Rzymem. Inne państwa, jeśli są demokratyczne, to tylko z nazwy, bo w każdym rządzi jakiś dyktator, najczęściej generał. Choćby takie Peru, w którym odbywa się kongres, jest twardo trzy-

mane przez generała Bonavides. Tylko, że ten chrobry wojak stale podaje się za demokratę.

WALKA O RYNKI

Kongres w Limie, zwołany pod grzmiącym hasłem, sprowadza się w gruncie rzeczy do walki o rynki południowo - amerykańskie, które przemysłowcom północno - amerykańskim wymykają się z rąk.

Nigdy jankesi nie byli mile widziani po tamtej stronie równika. Przed wojną Francja i Anglja miały tam chętnych odbiorców. Zwłaszcza francuski przemysł samochodowy zaopatrywał w auta wszystkie republiki lacińskie. Podczas wojny wywóz europejski ustał, a Stany Zjednoczone opanowały rynki.

Teraz daje się zauważyć proces odwrrotny. Towar europejski, tańszy i częstokroć lepszy, wypiera towar ze Stanów Zjednoczonych. Kiedyśmy wspomnieli o samochodach, to stwierdzmy, że Brazylja jest załoczona autami marek niemieckich, a Argentyna autami włoskimi. Dla przemysłu północno - amerykańskiego — zjawisko niepokojące.

JAK NIEMCY PŁACĄ

Z pośród licznych „cudów“, które przypisują Schachtowi, warto wspomnieć choćby o tem, że naprzykład kawa brazylijska jest do nabycia w

Hamburgu po cenie nieco niższej, niż w samej Brazylji. Niemcy kupują tylko surowce przyczem płacą za nie rzetelnie, ale nie gotówką lecz własnymi fabrykatami. Niektóre surowce sami zużytkowują, inne zaś, choćby taką kawę, odprzedają każdemu, kto im zapłaci dobrą walutą (byle nie markami).

System ten był i jest jeszcze mile widziany w wielu państwach południowo - amerykańskich, które surowców mają nadmiar, a przemysłu nie mają wcale. Niemcy też są zadowoleni — wyzbywają się bowiem fabrykatów a zdobywają surowce i waluty.

Natomiast krzywem okiem spoglądają na ten osobliwy handel Stany Zjednoczone i dla odparowania chwytów niemieckich zwołują konferencję.

Z Meksykiem też jest kłopot. Wiemy, że państwo to, szczerze socjalistyczne, doprowadziło do wywłaszczenia i do upaństwowienia przemysłu naftowego. Przemysł upadł, wobec czego odbywa się obecnie bezładny przetarg na oddanie źródeł i rafinerji w dzierżawę. W zawodach tych zwyciężają państwa totalne, Niemcy i Włochy, które będą płaciły za naftę fabrykatami, a przede wszystkim bronią i amunicją. Chciałyby temu zapobiec Stany Zjednoczone. Cóż kiedy Meksyk ma z Waszyngtonem stare porachunki.

Kongres w Limie zakończy się, jak zwykle, uchwaleniem pięknej deklaracji, frazesami bez większego sensu. A o tem co najważniejsze, czyli o cichych umowach gospodarczych i politycznych, usłyszymy w przyszłości.

OMYŁKA MENNICY

Zdaje się, że takiego błędu dawno nie popełniono. Zdarzały się wypadki, że minister poczt wycofywał nakłady znaczków, ale nie słyszeliśmy,



aby minister skarbu wydawał nakaz zniszczenia kilku miljonów świeżo wybitych monet.

Zdarzyło się to w Belgii. Mennica ogłosiła konkurs na nowe monety 1-frankowe. Stawili się artyści i jury wybrało rysunek wyobrażający herb państwowy. Rozległy się wprawdzie narzekania, że lew ma przesadnie fryzowaną grzywę, ale projekt przeszedł, mennica zaczęła bić i przygotowała zapas wartości kilku miljonów franków.

Gdy pierwsze monety ukazały się na mieście, powstał alarm. Okazało się, że krążki nie pasują do dziurek w automatach. Gdyby nasyciono rynek pieniężny, zasłaby konieczność przerobienia kilkunastu tysięcy automatów sprzedających bilety peronowe, pozatem automatów z czekoladą, papierosami, taśmami do kodaków, pachnidłami, pocztówkami etc.

Purpurowy z gniewu minister polecił wstrzymać bicie monet.

Z.

PRZY TOAŚCIE NOWOROCZNYM

Nie powinno zabraknąć tradycyjnego tokaju. Spieszmy się z żądaniem od *Lippóczy'ego* (Tarnów, Skrzynka pocztowa 112) cenników, wysyłanych gratis i franco. Jeśli dziś jeszcze wysłamy kartkę, zdążymy otrzymać cennik i zamówić wino, które przyjdzie na czas paczką żywnościową.

Masz kłopot z wyborem prezentu?

poradzi Ci

M. CHUDZYŃSKA

Warszawa, Chmielna 9

Prezenty gwiazdkowe

To już nie tamta PPS...

Szanowni Czytelnicy znajdą w tym zeszycie dokument niezwyklej wagi; dokument, obalający w grzyby pewną legendę, odsłaniający prawdziwy charakter pewnych polityków, rzucający rewelacyjne światło za kulisy pracowni „fabrykantów historii“.

FRYZOWANIE KLIO

„Fabrykantów historii“ — powiadam. Tak jest. Są bowiem pisarze dziejów, lecz są i fabrykanci historii. Pierwsi prezentują Klio, swą patronkę, w postaci takiej, w jakiej ją ujrzała Pierja, ojczyzna Muz. Z rąk drugich Klio wychodzi ufryzowana, upudrowana, przystrojona. zależnie od potrzeby, bądź we frygijską czapkę, bądź w śpiczasty hełm z pięcioramienią gwiazdą, bądź też, jeśli operatorem jest M. Antoine „Wiadomości Literackich“ — dr. Boy — nawet w irygator, choć, z ręką na sercu i jako żywo, ten strój do „twarzowych“ nie należy.

Jak wygląda Klio dzisiejszego PPS?

Czytając „Robotnika“, czy „Dziennik Ludowy“, łatwo odpowiedzieć na to pytanie: Klio PPS odziana jest w czerwony chiton, na głowie ma perukę à la Falenica, w jednej ręce dzierży „Kapitał“ Marksa, a w drugiej manifest erfurcki.

A naprawdę? Jak naprawdę wygląda historia PPS? Jak to było naprawdę z tym marksizmem, internacjonalizmem i semityzmem?

Właśnie dokument, o którym mowa, odpowiada na to pytanie w całej rozciągłości.

OCJALIZM

Już nieraz podnosiliśmy na tem miejscu fakt, że osiã programu politycznego dawnej PPS bynajmniej nie

był socjalizm. Wskazywaliśmy na tę wysoce charakterystyczną okoliczność, że czytając „Przedświt“, ideologiczny organ przedwojennej PPS—sposstrzega się, i to w uderzającej formie, zupełny brak koordynacji poglądów socjalistycznych. Każdy autor reprezentował inny kierunek. W „Przedświcie“ widać całą mozaikę socjalistyczną, wszystkie, sprzeczne z sobą teorie, od marksizmu poczynając, poprzez kierunek „Ecole Nouvelle“ George’a Sorela, i t.d., aż do socjalizmu z katedry.

Odnosi się nieodparte wrażenie, iż „socjalizm“ PPS był czemś zgoła nieistotnym, przypadkowym, trzeciorzęd-
nem; że była to kwestja, przez niektórych działaczy PPS wprowadzie podejmowana, ale jeszcze nierozstrzygnięta, nieprzetrawiona, pozostawiona do swobodnego uznania, a już wcale nie budząca żadnych głębszych uczuć w szerszych masach PPS-u, krótko mówiąc, nie zdradzająca żadnych rysów żywotności.

Aż śmiesznie wprost pomyśleć, że w PPS-ie mógłby przejawić się taki symptom wigoru socjalizmu, że np. doszłoby do rozłamu między zwolennikami marksizmu i Nowej Szkoły. Śmiesznie, bo w rzeczywistości w całym PPS-ie dwie kozy się nie trykały na ten temat.

NIEPODLEGŁOŚĆ

Natomiast prawdziwie żywotnym punktem programu był stosunek do Niepodległości. W tym punkcie nie było żadnych niedomówień, sporów, wątpliwości. W tej materji panowała jednomyślność równie charakterystyczna, co rozbieżność w tamtej.

Ten punkt także i w masach budził najżywsze, najgłośniejsze echo. Więcej: o ile internacjonalizm i marksizm PPS-u stał pod znakiem zapytania, o tyle jej nacjonalizm ostro,

wręcz jaskrawo odrzynał się od całej internacjonalnej socjety.

I jeszcze więcej: między internacjonalami z III międzynarodówki i nacjonalistami z PPS wrzała niustanna i zajadła walka. Cały artykuł (MERKURYUSZ nr. 50 z r.b.) poświęciliśmy wyliczeniu kongresów międzynarodowych, na których prawdziwe internacjonały z Różą Luksemburg na czele przeprowadzały wściekły i bezpardonowy atak na „fałszywych socjalistów“, „socjal - nacjonalistów“, „szowinistów polskich“ i t.d. z PPS.

Oczywiście, nie mogło być inaczej. Nie dla socjalizmu ginęli Okrzeje i Montwiłł - Mireccy, nie w imię Marksa bojowcy PPS walczyli z Moskwą.

WORCELL

W innym artykule (MERKURYUSZ nr. 53 z r.b.) przytoczyliśmy wyjątki z pism Worcella o sprawie polsko - węgierskiej.

Dziś, w okresie, kiedy zżydziała PPS tak gorliwie kruszy kopje w interesie Międzynarodówki przeciwko odzyskaniu granicy polsko - węgierskiej — aż dziwno było czytać słowa twórcy tej pałanej samej sprawie. Słowa, pełne takiego stanowczego zrozumienia wagi wspólnej polityki polsko - węgierskiej, słowa, tchnące tak wspaniałym, prawdziwie polskim imperjalizmem.

Otóż to: dzisiejsza PPS zdradziła swą tradycję, tradycję Okrzejów i Montwiłł - Mireckich. Zdradziła ją, porzucając swój nacjonalizm, a przechodząc z rozwiniętymi sztandarami do obozu Róży Luksemburg, obozu internacjonalistów. Postąpiła wręcz przeciwnie, niż jej ojcowie w roku 1902, gdy na kongresie w Dreźnie internacjonały zgłosili „Nebenprotokoll“ o usunięciu z programu PPS punktu o Niepodległości Polski i przy-

Na Sylwestra...

Spotkamy Nowy Rok lampką tokażu LIPPÓCZY'EGO..

Wysyłka, nawet najmniejszych ilości, paczkami żywnościowymi. Cenniki na żądanie gratis i franco. **Lippóczy, Tarnów.** Skrzynka pocztowa 112.

jęciu, jako jedynej podstawy programu erfurckiego. W roku 1902 PPS odrzuciła ten wniosek i na włosku wisiała sprawa wystąpienia partji z Międzynarodówki. Coby się też stało, gdyby żydzi nie skapitulowali i nie wycofali „Nebenprotokoll“-u.

DZIS

Wówczas PPS ostro i stanowczo zmanifestowała swoje nacjonalistyczne stanowisko, w kwestji „program erfucki“, czy „program niepodległościowy“, „internacjonalizm“, czy „nacjonalizm“ — przecięła wszelką dyskusję.

W roku 1902 internacjonalizm nie miał dla PPS znaczenia.

Dziś inaczej. Dziś PPS poszła na utrzymanie do bankierów międzynarodowych, zapomniała o nacjonalizmie, walczy przeciwko Worcellowi. Dziś PPS zżydziała.

Ale nietylko zżydziała, lecz jeszcze usiłuje zażydzić swą historję. Nie mając, jak wynika jasno z powyższego, nie mając prawa powoływać się na Okrzejów, Montwill - Mireckich, Worcella — wciąż powołuje się na nich.

Ukrywając skrzętnie ich pisma, ich przekonania, ich tradycje — wciąż wykrzykuje tylko ich nazwiska. „Okrzejów“ woła, starannie ukrywając Jego ideały. „Montwill - Mirecki“ — krzyczy — „nasz bohater“ — i bierze ogłoszenia od fabrykantów łódzkich. „Worcell“ — wrzeszczy i zwalczają ideję wspólnej granicy z Węgrami. „Proletarjat“ — wypisuje rok w rok — „Proletarjat“ był naszym oj-

cem! On pierwszy rzucił w Polsce nasze hasła, podniósł sztandar socjalizmu, sztandar międzynarodowej solidarności proletarjatu“.

NAPRAWDĘ

Czy tak? Czy rzeczywiście „Proletarjat“ rzucał hasła *dzisiejszego* PPS? Czy naprawdę „Proletarjat“ podniósł w Polsce sztandar socjalizmu i międzynarodowej solidarności proletarjatu? Czy w istocie byli to internacjonalisci?

Badając źródła, teksty, fakty łatwo dojść można, że nie, że to wszystko kłamstwo, że „Proletarjat“ był tak samo ruchem nacjonalistycznym, jak np. dziś ONR.

Ale na szczęście, mamy bardziej przekonujący dowód. Mamy świadectwo żywego słowa. Żyjący do dziś Edmund Płoski, jeden z założycieli „Proletarjatu“ i jego główny, obok Waryńskiego, przywódca, skazaniec w głośnym procesie z roku 1885. — Edmund Płoski własnymi ustami odpowiada na te wszystkie pytania.

Właśnie dokument, jaki ogłaszamy, jest własnoręcznie napisaną autobiografią Edmunda Płoskiego, napisaną specjalnie na prośbę MERKURYUSZA, którego założyciel „Proletarjatu“ jest gorącym sympatykiem. Nie zmieniliśmy w niej ani jednego słowa, dodając tylko tytułki.

DRUZGOCĄCY DOKUMENT

Druzgocący to dla dzisiejszych wodzów PPS dokument. Okazuje się żeń, iż socjalizm w PPS, to tradycja bardzo świeżej daty.

— Wszyscy uczestnicy — pisze Płoski — byli w *mniejszym, lub większym stopniu sympatykami* socjalizmu. Nie było to jednak ani głębokie, ani przemyślane, jedynie oparte na sympatji do świata pracy, upośledzonego i walczącego o lepsze jutro.

A więc nie żadni marksieści, lecz za ledwie *sympatycy* socjalizmu. I to w większym, lub *mniejszym* stopniu!!! I to było wcale nie głębokie! Wcale nie przemyślane! Oparte tylko na sympatji do świata pracy!

Mój Boże! Któż z nas nie jest *takim* sympatykiem? To jeszcze kilkadziesiąt lat pracy krzywonosych i krętowłosych historyków, a z nas wszystkich zrobią marksistów!

— W roku 1938 — będzie pisał jaki Feldman, Diksztajn, czy Lieberman — cała Polska wyznawała program Marksa.

Ba! Czegóż to nie może wmówić nauczyciel uczniom, którzy mają doń zaufanie?

MARKS ICH NUDZIŁ

Lecz w autobiografji Edmunda Płoskiego są jeszcze cenniejsze wyznania. Oto Marks poprostu „proletarjatchyków“... nudził, a cały „socjalizm“ znali z... popularnych broszurek!!!

...wszyscyśmy wówczas — pisze Edmund Płoski — hołowali socjalizmowi, choć przeważna większość znała zasady tego ruchu jedynie z broszur... Tylko nieliczni *mieli cierpliwość* doczytać do końca „Kapitał“ Marksa...

Natomiast...

...wiązała nas jedna idea — pisze Twórca „Proletarjatu“ — wiara w to, że wskutek walki rewolucyjnej w Rosji musi nadejść odpowiednia pora do postawienia w Polsce kwestji *walki o niepodległość, do nowego powstania*.

Oto, jak wygląda prawda o „Pro-

letarjacie“: byli to szczerzy, bojowi nacjonałiści, nieodrodni potomkowie powstańców z roku 1833, których, jak pisze Edmund Płoski, było w partji mnóstwo, ludzie, dla których socjalizm był przypadkową, z modą przypłątaną naleciałością, która ich zresztą poprostu nudziła.

CHERCHEZ LE JUIF

Lecz w takim razie, słusznie spyta Czytelnik, skąd wzięły się te naleciałości w „Proletarjacie“? Skąd ich „program“ socjalistyczny? Skąd wogóle cała ta egzotyczna nazwa?

Otóż to właśnie. I na to pytanie odpowiada Edmund Płoski z druzgocącą jasnością:

Ludwik Waryński przywiózł z Genewy gotowy program i nazwę partji: „Proletarjat“, opracowany w Genewie prz z kółko emigrantów (Dłuski, Mendelsohn, Janowska)...

Aha! I oto jesteśmy w domu! Mendelsohn! Mendelsohn! I Dłuski! Hierosolimski nobilis i gruby franc-maçon!!! Bagatela. No, teraz wiemy, kto to powstańcom szczepił ten internacjonalizm, tę proletarjackość, ten marksizm!

Mendelsohn! Mendelsohn! Poskrobicie marksistę, a wylizie Mendelsohn! Aha! Mendelsohn, który zakładał w Polsce wszystkie partje do wzajemnego wyrzynania się polaków, a gdy już założył, gdy swoje zrobił, gdy wszczepił polakom internacjonalną so lidarność proletarjatu (judejskiego), wówczas dopiero pokazał swoje właściwe oblicze: dla żydów założył partję *nacjonalistyczną!* Czytajcie, przyjaciele, życiorys Mendelsohna. Przekonajcie się sami, jaką to delikatną robótkę prowadził w Polsce Mendelsohn: wśród polaków zakładał partje internacjonalne, a wśród żydów nacjonalistyczne. Dla polaków wzajem-

ne zażeranie się, dla żydów zwartość, siła, pomoc.

GOTOWE

Cóż za wspaniały epizod: w Polsce zbiera się garść dzielnych, szlacheckich bojowników o niepodległość, i odrazu z Genewy (Z Genewy! Z Genewy! Accurate z Genewy, z kłębowiska zmij franc - maçońskich, odwiecznego gniazda Baphometa, z Genewy!!!) odrazu z Genewy przyjeżdża *gotowy* program i nazwa marksowska. Czyż to nie pyszne?

Lecz Edmund Płoski stwierdza rzecz jeszcze donioslejszą, jeszcze silniej podkreślając ten klasyczny wprost rys zagadnienia:

Grupa ta... miała pretensję do kierowania ruchem w kraju, gdzie ednakoże autorytetu tego nie uznawano.

Czegóż trzeba jeszcze? Chyba to już dość wyraźnie powiedziane: narzucono nam obcy program, obcą nazwę, obcego ducha, chciano nawet narzucić kierownictwo, lecz to ostatnie się nie udało! Byliśmy wciąż nacjonalistami! Pod komendę internacjonalistów nie chcieliśmy iść i nie poszliśmy nigdy!

NAWET MOSKALE

W życiorysie Edmunda Płoskiego są rewelacyjne wiadomości. Okazuje się, że nawet moskale dobrze wiedzieli, iż cały internacjonalizm „Proletariatu” jest sztucznie wydętą legendą, że „proletarijczycy”, to nacjonałści polscy i pierwotny akt oskarżenia przywołał paragraf 252 t.j. *dążenie do oderwania od imperjum części terytorjum*. Dopiero później, w ostatniej chwili przed procesem, zmieniono kwalifikację, dodając momenty socjalne.

Ten fakt historycy PPS-u skrzętnie ukrywali. Im była potrzebna ta właśnie legenda, co i generał - gubernatorowi Hurce: że „Proletarijat” to byli marksści. Międzynarodowi marksści.

A to byli nietylko nacjonałści, lecz nawet, o zgrozo! antysemita!

Oto, co Założyciel „Proletarijatu” pisze o atmosferze galicyjskiej PPSD, której PPS jest rzeczywiście i niezaprzeczenie dziedziczką:

Zmaterjalizowana atmosfera galicyjskiej PPSD (Daszyńskiego et Co, kierowanej przy znacznym i decydującym współdziałaniu żydowskim (dr. Diamand), mogła tylko odstręczać.

Dość? Wystarczy?
Oczywiście.

PRAWDA O PPS

Oto, jak wygląda prawda o tradycji PPS-u, tej tradycji, którą PPS dzisiejsza zdradziła na całej linii.

Tradycja ta nie jest międzynarodowa, lecz przeciwnie: nacjonalistyczna. Nie jest materjalistyczna, marksowska, lecz nawskroś duchowa, patrijotyczna. Materjalizm PPSD (prawdziwej matki dzisiejszej PPS) starych PPS-owców raził i odstręczał.

Odstęczało też ich zażydzenie nowej PPS. Stary „Proletarijczyk” jasno i otwarcie dorzuca i ten także punkt potępienia: zażydziliście partję, panowie „spadkobiercy”!

Tak jest, zażydzili. Poszli na służbę do bankierów łódzkich. I na tym punkcie zerwali ze starą, piękną tradycją, która była przedewszystkiem polską, *polską*.

Tak, tak. PPS pp. Czapińskich, Zarembołów, Mitznerów to już nie tamta PPS.

Nasi współcześni

EDMUND PŁOSKI

proletariatszyk i nacjonalista

Urodzony w październiku 1859 roku w majątku Turowo, wczesne dzieciństwo spędziłem w majątku ojcowskim Patory, powiatu ciechanowskiego. Ojciec Aleksander był czynnym powstańcem i parę epizodów z tego okresu utkwiło w mej dziecinnej pamięci, zwłaszcza scena napadu bandy kozackiej na nasz dwór, a od nahajek kozackich długo nosiłem blizny na plecach. Może to już wówczas stworzyło w mej duszy podłoże do buntu.

Materjalne skutki powstania dla naszej rodziny były oplakane: majątek zrujnowany, budynki spalone. Po kilku latach wysiłków trzeba było opuścić własną siedzibę i tułać się dla chleba po różnych kątach Polski. Ja, już od piątej klasy, musiałem na siebie zarabiać. Może to i było pożyteczne.

SZKOŁA I KOLEDZY

Początkową naukę pobierałem w szkółce wiejskiej w sąsiednich Osejskach, gdzie nauczycielem (aby się uwolnić od wojska rosyjskiego) był nasz kuzyn Onufry Płoski. W ostatnim roku mego pobytu w tej szkole, do małego grona krewniaków Onufrego przybył krewniak jego żony, mały Oleś — dziś kardynał Kakowski. Przed kilku laty przypomniał mi Jego Eminencja, jak to uciekał ze szkoły do mamy i jak jego myśmy gonili.

Szkoły średnie przebyłem w Pułtusku, do klasy IV-ej, a potem w Płocku, gdzie ukończyłem gimnazjum w roku 1878, razem z Ludwikiem Krzywickim, Ludomirem Grendy-szyńskim, Aleksandrem Dębskim,

którzy ślad swego życia na karcie polskiej zapisali. Potem udałem się do Petersburga z zamiarem wstąpienia na inżynierję. Było to życzenie nie moje, lecz mego ojca. Na egzaminie otrzymałem stopień dobry i przypadłem, bo przyjmowali tylko celujących. Przepadł również i Dębski, najlepszy matematyk naszej klasy. Nie zmartwiło to mię wcale, pociągniałem do nauk humanistycznych. To też wstąpiłem na prawo.

W PETERSBURGU

Studja szły mi łatwo, czasu miałem dużo, a i temperamentu nie mało, więc rzuciłem się w wir ożywionego wówczas życia kółkowego w studenckiej polonji, gdzie dokształciliśmy się wzajemnie w polonistyce (a po części i w bojkotowanej dotąd literaturze rosyjskiej). Wolny czas spędzaliśmy na śpiewaniu pieśni patrijotycznych, na obchodach, odczytach.

Z ciekawości i z temperamentu brałem również udział w niektórych rosyjskich imprezach i tak zwanych „bezpordakach“ studenckich. Zresztą byłem tam tylko ciekawym widzkiem, ryzykując dużo oberwać, a bez nadziei, aby cośkolwiek wygrać.

Do walczących z rządem moskali sympatje wśród nas były powszechne i to potrochu przygotowywało grunt pod sympatje do nowinek socjalistycznych, jakkolwiek ponad nimi górowały uczucia patrijotyczne.

„GMINA POLSKA“

To też wkrótce od tych początkowych kół przeciągnięty zostałem do ściślejszej konspiracji. Istniało wówczas w Petersburgu od kilku lat konspiracyjne ugrupowanie „Gmina Polska“, do której w końcu 1879 roku zostałem zaproszony. Nie była to jakaś

ściśle polityczna organizacja. Raczej także kółko dokształcające, tylko w specjalnym już kierunku, mianowicie obejmowało dziedzinę nauk politycznych i socjalizmu, którego wszyscy uczestnicy byli sympatykami w mniejszym lub większym stopniu. Nie było to jednak ani głębokie, ani przemyślane, jedynie oparte na sympatji do świata pracy, upośledzonego i walczącego o lepsze jutro.

Była to młodzież dopiero kształtująca swe przekonania. Różni potem stąd wyszli działacze polityczni; najliczniejsi — narodowi demokraci: Zygmunt Balicki, Józef Hłasko, Józef Czerniewski; potem — postępowi demokraci: Wróblewski (adwokat w Wilnie), Tadeusz Balicki, Adam Zakrzewski i inni; ludowiec — Bolesław Wysłouch. Najmniej bodaj socjalistów. Ale wówczas wszyscyśmy hołowali socjalizmowi, choć przeważna większość znała zasady tego ruchu jedynie z broszur Schaefflego, Lassala i t. p. Tylko nieliczni mieli cierpliwość doczytać do końca „Kapitał“ Marksa.

W OCZEKIWANIU REWOLUCJI

Propaganda szła od Rosji, od jej walki z caratem, tak dla nas sympatycznej. Wiara w bliskość rewolucji w Rosji była powszechna, choć opierała się więcej na pragnieniu naszym aby ona była, niż na faktach świadczących o jej postępie. Kolega Rechniewski, na przykład, mówił o sobie, iż gdyby miał przekonanie, że rewolucja wybuchnie dopiero za lat piętnaście, to poświęciłby się pracy naukowej. Jeszcze głębiej wierzył Zygmunt Balicki. W końcu roku 1880 przysłał on do nas do Petersburga z Warszawy, gdzie prowadził propagandę — pismo, w którym wzywał nas wszystkich do porzucenia stu-

djów i do stawienia się do pracy na narodowym terenie.

„Rewolucja wisi w powietrzu — pisał — zdobywać dyplomy będzie czas i po rewolucji“.

Nikt z nas zresztą w Petersburgu takim optymistą nie był i list skutku nie odniósł żadnego. Jediną czynnością polityczną, jaką gmina prowadziła w Petersburgu, to były stosunki z rosyjskimi partjami Narodnaja Wola i Czornyj Pieriediel. Stosunki te pociągnęły za sobą, po zamachu na cara w dniu 13.III.81, areszty wśród gminiaków w Petersburgu oraz w Warszawie. Prawie cały skład Gminy znalazł się pod kluczem wskutek zdrady jednego z jej członków, niejakiego Rodziewicza, który wydał wszystko, co wiedział. Ocalało nas tylko czterech, których z nazwisk Rodziewicz nie znał: St. Kunicki, Mieczysław Marzewski (student inżynierji), Adam Zakrzewski (przyrodnik) i ja.

ODBUDOWA GMINY

Po pewnym czasie, ochłonawszy z przygnębienia, wzięliśmy się do odbudowy Gminy, z pewnemi jednak zmianami. Zorganizowaliśmy Gminę dwustopniową: obszerniejszą, złożoną ze wszystkich sympatyków, i ściśle konspiracyjną. O tej pierwszej, częściowo uwiecznionej na przypadkowej fotografii z roku 1882, pisał Ludwik Krzywicki w „Niepodległości“ (tom III, str. 66 i następne). Do ściślejszej weszli: St. Kunicki, Tadeusz Rechniewski, Aleksander Dębski, Bronisław Białobłocki (wkrótce wystąpił), Ludwik Janowicz (student agronomji w Moskwie), Mieczysław Marszewski (inżynier, przyszły budowniczy mostu Poniatowskiego) Józef Stankiewicz (ukończył przyrodę i Instytut Leśny w Petersburgu) oraz ja. Białobłocki wystąpił z powo-

du powziętej przez nas decyzji, aby każdy z nas przygotował się do czynności przygotowawczych do nowego powstania, gdy warunki będą po temu. Nie poczuwał w sobie sił do tej pracy.

Z poza gminy wszedł do naszego grona były członek Narodnej Woli, Stefan Michalewicz, wkrótce zresztą aresztowany. Zespół, pod względem politycznym, również nie był jednolity, ale wiązała nas jedna idea dość mocno — wiara w to, że wskutek walki rewolucyjnej w Rosji musi nadejść odpowiednia pora do postawienia w Polsce kwestji walki o niepodległość, do ponownego powstania. Trzeba było do tego społeczeństwo odpowiednio przygotować. A więc narazie — kończyć studia, przenieść się jaknajśpieszniej do kraju (pojęciem tem obejmowaliśmy w zasadzie granice przedrozbiorowe) i tam rozpocząć pracę, a narazie podtrzymywać stosunki z Narodną Wolą i okazywać jej sąsiedzka pomoc uboczną.

A o tę naszą zasadniczą ideę szły z nimi długie, bo blisko rok trwające rozmowy i częściowo targi.

PRZYJAZD WARYŃSKIEGO

W końcu roku 1881 nawiązaliśmy zerwane od wiosny stosunki z Warszawą. Areszty wiosenne zupełnie rozbiły organizacje poprzednie. Zygmunt Balicki, Kazimierz Sosnowski uciekli zagranicę jeszcze wcześniej. Tak samo postąpił Bolesław Wyśłouch. Jesienią tegoż roku przyjechał z Genewy Ludwik Waryński, który przywiózł ze sobą gotowy program (i nazwę) partji „Proletariat”, opracowany w Genewie przez kółko emigracyjne z lat dawniejszych (Dłuski, Mendelsohn, Jankowska). Grupa ta, wychowana na wzorach socjaldemokracji niemieckiej, jednakże z dużą domieszką taktyczną wpływów

rosyjskich, miała pretensję do kierowania ruchem w kraju, gdzie jednakże autorytetu tego nie uznawano. Tu silniejsze raczej były wpływy rosyjskie na tle politycznych aspiracji.

Istniało w Warszawie, po wiosennych aresztowaniach, jedynie kółko Puchewicza; z tego kółka przeszły do Waryńskiego dwie najczynniejsze osoby: Henryk Dulęba i Aleksandra Jentysówna. Pozostała przy Puchewiczu młodzież tylko wegetowała, przeciwstawiając się propagowanej przez Waryńskiego taktyce czynnej walki z rządem (nawet terrorem). Wkrótce między temi ugrupowaniami nastąpił zupełny rozłam.

PARTJA PROLETARJAT

Nas, petersburszczan, energja Waryńskiego pociągała, a choć z programem genewskim nie godziliśmy się, zwłaszcza co do terroru socjalnego (nam przeciwnie szło o wytworzenie jaknajwiększej jednolitości społeczeństwa polskiego do walki z rządem), to jednak uważaliśmy, że temat jest raczej akademicki, że różnice poglądów dadzą się wyrównać, a program w przyszłości opracować.

W wirze jednak czynnej akcji nigdy do tego nie doszło. Stąd też pochodzi fałszywy pogląd na właściwe oblicze grupy Proletariat. Zwłaszcza niesłuszna jest np. opinja Dmowskiego, iż Proletariat był tylko filją Narodnej Woli. Powstał on wprawdzie pod silnym wpływem wypadków w Rosji, ale cele miał własne, nawiązujące do tradycji powstańczej. Nawet akt oskarżenia wygotowany do naszego procesu zarzucał nam pierwotnie zbrodnię z art. 252 kod., to jest dążenie do oderwania od imperjum części jego terytorjum. Dopiero prawie przed samym procesem, napewno wskutek presji generała - gubernatora Hurki, któremu potrzebne były

ka. Zamknął się z nami (żona siedziała ze mną w oczekiwaniu na zesłanie) i z pół godziny przytaczał swe argumenty, a zbijał moje. Po kategorycznej odmowie z mej strony, zakończył uściskiem dłoni, wyrażeniem pełnego szacunku („Ja was oczeń, oczeń uważaju“) i życzeniem wytrwania. Słowo „was“, jak wyczułem, odnosiło się nietylko do mnie, ale i do wszystkich moich towarzyszków zesłania.

SZUBIENICE, KATORGA

Cztery tygodnie jeszcze siedzieliśmy w X pawilonie pod grozą czekających na sześciu z nas szubienic. Między innymi i na mojego przyjaciela Bardowskiego, moskala, który za polską sprawę oddał życie.

Cztery szubienice postawiono, a nas, resztę, skazanych na długie lata katorgi, rozesłano w różne strony.

Po półrocznej tułaczce po różnych więzieniach, znalazłem się z kilkoma robotnikami na krańcu carskich posiadłości, na Sachalinie. W następnym roku przysłano tam jeszcze kilkunastu proletarijczyków, samych robociarzy, potem kilku moskali i wreszcie Bronisława Piłsudskiego, brata Józefa. Wspólna niedola złączyła nas nierozzerwalnemi do śmierci węzłami przyjaźni. Moja martyrologja trwała na Sachalinie lat dwanaście, a potem jeszcze „na posielenji“ lat osiem.

Wytrwałem, a zawdzięczam to mej żonie, Zofji z Onufrowiczów, która całkowicie swe życie dla mnie oddała, a zdrowie swe zrujnowawszy, zmarła przed szesnastu laty.

POWRÓT

Wróciłem do kraju, żywy, ale na zdrowiu mocno nadszarpnięty. Przyczyniły się też do tego przeżycia tej

tragifarsy, szumnie zwanej rewolucją po wojnie japońskiej. Nie mogłem nie brać udziału w tym ruchu, choć jak na Błagowieszczeńsk, gdzie mieszkałem (miasto słynne z utopienia kilku tysięcy chińczyków w roku 1900) — to ruch antyrządowy ograniczał się do odczytów o obiecanej konstytucji i usiłowań utrzymania bezpieczeństwa w mieście, w którym po każdej nocy znajdowano kilka trupów.

Choć oficjalnie nie ścigany, widziałem z przykładów z byłymi zesłańcami, co mnie spotkać może. Nie czekałem więc na ustalenie stosunków normalnych i wraz z rodziną wyjechałem do Japonji. W ciszy i spokoju tego kraju leczyłem w ciągu dziesięciu miesięcy skołatane zdrowie.

W KRAKOWIE

Straciłem nadzieję, aby w państwie rosyjskiem coś się poprawiło i zdecydowałem się pójść na emigrację. Zimą 1906/7 roku, poprzez trzy oceany i kilka mórz, na austriackim statku „Franz - Ferdinand“ przybyłem do Triestu, a stąd do Krakowa, gdzie stanąłem w marcu 1907 roku i tam zamieszkałem aż do powstania Polski.

Przez Bronisława Piłsudskiego poznałem się ze ś. p. Józefem. Stosunek nasz stał się dość bliski, przyjacielski, zwłaszcza po odbyciu kilku wycieczek w Tatry. Ś. p. Józef był zapalonym taternikiem i, jak sam o sobie mówił — znawcą nie tyle szczytów, co przełęczy, w których orjentował się znakomicie. Jedną z tych wycieczek, na propozycję profesora Włod-

EGZEMPLARZE OKAZOWE

MERKURYUSZA

na żądanie gratis

ka z Krakowa, opisałem, a on umieścił ją w „Czasie“. Jednak redakcja nie przysłała mi numeru z tym opisem i nie wiem co tam z mej pisaniny ocalało.

SOCJALIŚCI KRAKOWSCY

Do działalności politycznej już nie wróciłem. Socjalistą, w znaczeniu marksistowskim, nie byłem nigdy, a po powrocie ideał socjalizmu, nawet w chrześcijańskiej formie, odsunął się w daleką i mglistą przyszłość, uzależnioną od ewentualnego uszlachetnienia gatunku homo sapiens. Zmaterjalizowana atmosfera galicyjskiej PPSD (Daszyńskiego et Co), kierowanej przy znacznym i decydującym współudziale żydowskim (Dr. Diamand), mogła tylko odstręczać.

Do akcji bojowej Józefa Piłsudskiego byłem już i za stary i za słaby. Ograniczałem się więc do roli sympatyka i do okazywania ubocznych przysług.

SPEŁNIONA WRÓŻBA

W czasie wojny nie mogłem zwalczyć w sobie rozdwojenia między sympatją do porywów legjonowych, a strachem przed ewentualnem zwycięstwem Niemców. Co to by wówczas z nami było?

Utkwiły mi w pamięci prorocze zaiste słowa ś. p. Józefa, iż wojna to będzie taka, że „z obu gryzących się psów tylko ogony pozostaną. Wówczas i my coś będziemy znaczyli, a narazie trzeba tylko trwać i jaknajmniej tracić ludzi“.

Mego syna — jedynaka, który siedemnasty rok liczył, Józef Piłsudski do Legjonów nie ciągnął.

„Mały dłubinosek, mały japończyk, niech poczeka“.

To też chłopak poczekał do czasów

POW i do dni październikowych 1918 roku.

ZAKOŃCZENIE

Czekałem i ja. Po usunięciu Niemców z Polski, zgłosiłem się do sądownictwa w moich rodzinnych stronach. Zostałem mianowany sędzią pokoju w Mławie, przeszedłem kilka stopni hierarchicznych i zakończyłem karierę sądowniczą na stanowisku prezesa sądu we Włocławku. Po osiągnięciu wieku prekluzyjnego (październik 1929) jeszcze przeszło pół roku polecono mi pozostawać na stanowisku do czasu wyznaczenia następcy.

W czerwcu 1930 roku zostałem wreszcie zwolniony. A że emerytura wypadła bardzo niewielka, zaproponowano mi wzamian rejenturę. Wybrałem małą mięscinę prowincjonalną, Maków, bliską moich stron rodzinnych. I tu, zdaje się, na tym łaskawym chlebie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej żywota swego w ciszy dokonam. A do końca już bardzo nie daleko. Stąd cieszę się z pracy młodych i z ich poczynania.

Edmund Płoski

Rek założenia 1825

SIMON i STECKI

Krak. Przedmieście 38

SKŁAD WIN

HURT

DETAL

WINIARNIA

**Noworozszerzone salony
restauracyjne i bankietowe**

Najszlachetniejszy trunk polski, to
Starka S. S., produkt długoletniej
pielegnacji.

Walka o prawdę

Po artykule moim w n-rze „Merkuryusza“ p. t. „Panie premierze, ja nie głosowałem!“ spadła na redakcję naszego pisma istna lawina listów, telefonów i odwiedzin ludzi, solidaryzujących się z zajętem przezemnie stanowiskiem. Nie taję, że mi to miłe z czysto ludzkich względów, to też dziękuję na tem miejscu wszystkim, którzy tak żywo zareagowali na moje słowa. Jednakże efekt ten przypisuję nie swojemu pióru, lecz sile prawdy. Napisałem już w życiu wiele artykułów, lecz żaden z nich nie wywołał tak żywiołowej reakcji opinii, jak ten. Wnoszę z tego, że nie rozminąłem się z prawdą nietylko w mojem poczuciu subiektywnem, lecz i obiektywnie, że utrafiłem w sam obnażony nerw sumienia zbiorowego, że poruszyłem sprawę o aktualności i doniosłości powszechnej.

Wśród mnóstwa wypowiedzi pozytywnych nadesłano do redakcji jeden jedyny głos przeciwko mojemu stanowisku. Drukuję go in extenso, na pierwszym miejscu, aby dać krytykowi memu pełną szansę wobec czytelników. List ten nie zajmuje się wcale zjawiskiem deprawacji moralnej, jaką obserwujemy niestety w Polsce współczesnej, ani też całokształtem metod wychowawczych reżimu. Dotyczy on tylko samego aktu głosowania i rozważa pytanie, czy ja — jeden z obywateli R. P. — powinienem czy nie powinienem być głosować:

KAŻDY UPRAWNIONY POWINIEN GŁOSOWAĆ

Odpowiadając na wezwanie, umieszczone w artykule p. t. „Panie Premierze, ja nie głosowałem“ oświadczam, że moim zdaniem (nie należę do żadnej partji politycznej) postąpił WPan źle wstrzymując się od głosowania. Powinien WPan głosować. Nie można zasłaniać się tym,

że nic się nie wie o kandydatach. Gdyby uzasadnienie to było uznane przez wszystkich obywateli, uprawnionych do głosowania, niewielu wyborców stanęłoby do urny. Nie mogą wszyscy znać osobiście wysuniętych kandydatów; podawane w prasie, ulotkach i plakatach życiorysy muszą wystarczyć do zaznajomienia się z osobami kandydatów. Innego sposobu zapoznania ogółu wyborców z kandydatami, prócz życiorysów i wieców przedwyborczych, zdaje się że niema.

Jeżeli poczucie obowiązku obywatelskiego nie jest głęboko zakorzenione w społeczeństwie należy dążyć różnymi drogami do pogłębienia tego poczucia, choćby nawet stosowaniem przymusu moralnego. Wiemy o tym, że przeważająca większość naszego społeczeństwa nie bierze udziału w życiu publicznym i przez to skłonna jest do: „co mnie to obchodzi jak wypadną wybory, i tak spełniać będą swoje obowiązki względem państwa, a gdy trzeba będzie, to, bez względu na to czyja będzie większość w parlamencie, pójdę do obrony kraju“. Tak myśli bardzo wielu ludzi. Trzeba dążyć do tego, by ogół myślał inaczej. Jak to zrobić — może WPan poradzi, jeśli stosowanie przymusu moralnego napawa W Pana smutkiem i goryczą.

Zresztą nie należy przesądzać sprawy: rubryka blankietu, o którym WPan pisze, „czy głosował“ nie koniecznie musi być zapowiedzią represyj. Może ona służyć tylko do statystyki, wykazującej ilu ludzi w Polsce interesuje się sprawami publicznymi.

A teraz — sprawa propagandy przedwyborczej. Moim zdaniem, taka lub inna metoda propagandowa nie powinna W Pana zniechęcić do brania udziału w wyborach. Trudno sobie wyobrazić wybory bez propagandy. A zgóry trzeba być przygotowanym na to, że jednym, sposobem propagandy przypadnie do gustu, a innym — nie. Więc cóż, ten „inny“ ma już być zwolniony w swoim sumieniu od spełnienia obowiązku obywatelskiego? Do czego to doprowadzi? Nie można przecież tak poważnej sprawy, jak wybory, uzależniać od kaprysów, humoru lub poczucia smaku — wyborców.

Również pogłoski o represjach, rozsiewane w okresie wyborów, nie powinny Pana odsunąć od urny. Po pierwsze — nie wiadomo kto te pogłoski rozsiewał. Może właśnie — czynniki niechętne naszemu

państwu po to, by osłabić ewentualny sukces rządu lub zwycięskiego obozu. A po drugie — gdyby każdy wyborca uzależniał swoje stanowisko w wyborach od takich lub innych pogłosek — to któżby właściwie głosował. „Straszenie represjami“ określa pan przecież jako pogłoskę.

Powód, że wielu W Pana znajomych brało udział w wyborach jedynie ze strachu przed utratą posady lub przykrościami bliskich, również nie może być brany pod uwagę. Różni ludzie — różnych rzeczy się boją. Wyborca nie może uzależnić swojego postępowania od ludzi bojaźliwych, których obawy są zresztą bardzo często z „palca wyssane“.

Opierając się na artykule W Pana, trzeba stwierdzić, że uzależnił W Pan swój udział w wyborach od wielu czynników. Zgóry można powiedzieć, że nasze pokolenie na pewno nie doczeka tak idealnych pod tym względem czasów, by którykolwiek z wyszczególnionych przez W Pana powodów, odstrasających wyborcę od urny, nie miał miejsca w przyszłości. Więc cóż, wypadaloby już teraz zrezygnować z udziału w przyszłych wyborach.

I jeszcze jedno. Nie można ludzi, którzy robią coś pod przymusem moralnym (w danym wypadku — wyimaginowanym) nazywać tchórzami. Musielibyśmy w takim razie nazwać tchórzami tych, którzy pod przymusem moralnym rodziców, otoczenia, i nauczycieli, kończą szkoły średnie, nieraz i wyższe zakłady naukowe. Przymus moralny stosowany jest nie wielu odcinkach życia zbiorowego. Ma on znaczenie wychowawcze; pomaga wyrabiać w ludziach charaktery. Przymusem moralnym trzeba nieraz zmuszać obywateli do brania udziału w takich lub innych przejawach życia społecznego. Tego nie można nazywać złem i tym, co prowadzi, jak W Pan pisze, do zakłamania. Namawianie obywateli do brania udziału w życiu zbiorowym musi być stosowane tam, gdzie potrzeba tego wymaga, gdzie dobro publiczne staje ponad interesem osobistym.

W danym wypadku nie chodziło zresztą o to, by W Pan głosował na wskazanego lub zalecanego kandydata. Chodziło o to, by W Pan wogóle brał udział w akcie wyborczym. W tym tylko kierunku był do pewnego stopnia stosowany przymus moralny.

Jeśli stosowanie tego przymusu uważa W Pan za niewłaściwe — proszę powiedzieć, jak zapatruje się W Pan na sprawę

tych obywateli, którzy namawiali wyborców do bojkotowania aktu wyborczego, i jak, w danym wypadku, czynniki miarodajne miały postąpić.

Na zakończenie proszę nie brać mi za złe, że piszę tak bezpośrednio i „na kolanie“, lecz brak czasu nie pozwala mi na wypracowanie odpowiedniej formy, a nie chcę przejść do porządku dziennego nad tym ważnym zagadnieniem, którego poruszenie przez W Pana uważam za bardzo dodatnie.

E. I.

Zamiast odpowiedzi na ten wywód drukuję poniżej wyjątki z niektórych listów, które wiążą się pośrednio lub bezpośrednio z poruszoną przez p. E. I. zagadnieniami. Niech Czytelnicy sami ocenią, po czyjej stronie jest prawda.

Najpierw, jako motto, wyjątek z listu p. K. R. z Głębokiego:

Jako przewodnicząca Komisji Obwodowej wiem coś więcej o metodach wyborczych i wobec tego również nie głosowałam.

Życie — w najkrótszym ujęciu — można porównać do obszaru ziemi wyposażonej w cudowne piękno i wstrętne, cuchnące bagna kłamstwa i przewrotności. Niestety, pogrążamy się w kłamstwie zdawałoby się beznadziejnie. Lecz artykuł Szanownego Pana dodaje otuchy, że Polska nie zginie dopóki są ludzie miłujący Prawdę.

A teraz głos p. W. S. z Mińska, urzędnika państwowego:

Szanowny Panie Redaktorze!

Przepraszam, że piszę na otwartej karcie. Chcę żeby była jawna. Nie boję się, jak pan się nie bał i podpisuję się pełnym imieniem i nazwiskiem i za to odpowiadam. Nie jestem tchórzem. Panie Redaktorze, ja też nie głosowałam, a miałem zamiar głosować. Jestem urzędnikiem. Mają to odnotowane, że nie głosowałam. Ja nie chciałem i nie mogłem spaczyć duszy POLAKA. Nie dlatego nie głosowałem żeby dokuczyć Rządowi, nie. Nie głosowałem dla powodów wyłuszczonej w Pańskim artykule, pod którym się dwie ma rękami podpisuję. Tak jak Pan my-

śli, czuje w Polsce setki tysięcy. Nie wszyscy niestety są odważni. Gdy taki system będzie rządził przez jedno pokolenie, zupełnie rozbroimy się moralnie.

W.

Czy taki odruch dumy i godności osobistej uważać będzie p. E. I. za szkodliwy efekt mojego artykułu? Sądzę, że nie. Zacytuję jednak jeszcze to co pisze p. inż. R. T. z Leżajska (C. O. P.) na temat atmosfery przymusu i zastraszania, którą Pan nazywa „przymusem moralnym“:

W swych słowach „my się dusimy w takiej atmosferze“ powiedział Pan tyle prawdy, ile jej zamknął Mickiewicz w słowach: Litwo! Ojczyzno moja... ile Cię trzeba cenić ten tylko się dowie, kto Cię stracił.

Ja, nieznany Panu człowiek, uchodzę za żołnierza walki o prawdę. Trudna to dziś praca, bo ludzie nie lubią prawdy — zwierzchnicy uważają ją za obrazę, za chęć dokuczenia, równi, i podwładni, nie dając samemu bodźca, zupełnie niepotrzebnie chwala. Często w takich warunkach człek się łamie, obiecuje sobie milczeć, szczególnie jeżeli ta walka o prawdę może mieć skutki doczesne — w postaci utraty posady. I oto w porę przychodzi artykuł Pana Redaktora i niby mieczem przecina wątpliwości. Trzeba walczyć o prawdę, trzeba odwagi w wystąpieniach słusznych! Przypomina Pan dobitnie, że trzeba mówić prawdę i samemu przestrzegać nakazów sumienia w życiu!

Artykuł pański to zastrzyk zdrowia dla nas młodych. Ponieważ kochamy prawdę, ponieważ chcemy jej wszędzie, głos Pański uznajemy jako nasz głos sumienia i uważamy sobie za obowiązek Panu o tym donieść!

Pisze p. E. I., że trzeba głosować nawet na kandydatów nieznanymi, o których niewiadomo, jakie walory osobiste i jaki światopogląd reprezentują. Niechże mu odpowie w moim imieniu p. R. W. ze Szczepieszyna:

Tchórzostwo o którym wspomniał Pan Redaktor w Swym odważnym i mądrym artykule, jest tak powszechne i tak wiel-

kie, że aż obrzydzenie bierze. Rozumiem bowiem jeżeli urzędnik, nauczyciel zależny od „władzy“ nie ujawnia prawdziwych swoich przekonań, nie wypowiada się z własnymi myślami i pochwała wszystko co mu „władza“ podsuwa. Ale widok przedsiębiorcy przemysłowego, człowieka z racji swej działalności przywykłego do pokonywania trudności i borykania się z przeciwnościami, podporządkowywania sobie ludzi i okoliczności, gotowego każdej chwili sprzeciwić się przez siebie głoszonym zasadom, byle tylko nie narazić się czy to panu staroście, czy też urzędnikowi skarbowemu, chociaż ani jeden ani drugi nie miałyby najmniejszych podstaw prawnych, mało, cienia podstaw do „zemsty“ czy innego krzywdzącego danego osobnika działania, jest wprost żalony. Rezultat zaś jest taki, jak widzimy przy wyborach delegatów do wyboru senatora. Mianowicie wybrano przeważającą ilością głosów (75 % głosów) człowieka, którego nikt, dosłownie nikt na sali nie szanował ani nie szanuje. W całym zebraniu nie było człowieka, któryby ujemnie odcenił, natomiast nie zgłoszono kandydatury choćby z tego samego „obożu“, powiedzmy w dodatku tej samej „branży“ (nauczycielskiej) ktoby swoją indywidualną wartość zasługiwał na taki wyraz zaufania, jakim jest wybór delegata. Jedyną realną wartością wybranego była kwalifikacja „pyskacza“ pyskującego jednak bardzo mętnie i bałamutnie ale zato bardzo „lewicowo“. — Bóg z nim, niechby już sobie wybierali lewicowca, ale takiego, którego sami potrafili szanować. Ale cóż, „pyskacz“ ma wpływy! Różne wpływy! Trzeba się z nim liczyć, bo może bardziej zaszkodzić niż sama „władza“. Oczywiście że może zaszkodzić bo skrupułów moralnych ma niewiele, to też dysponuje możliwościami, których inni nie mają.

Czy p. E. J. byłby spokojny w swoim sumieniu, gdyby się dowiedział, że wprowadził do Senatu Rzeczypospolitej „pyskacza“ wybranego przez tchórzów? Jego zdaniem rubryka „czy głosowałem?“ mogła nie być przygotowaniem represji wobec niegłoszących. Gdyby Pan wysłuchał w Sejmie mowy pos. Dużińskiego o tem, jak administracja pomagała w

wyborach, albo gdyby sam wglądnął w „rzeczywistą rzeczywistość“ byłby mniej naiwny. Aby mu odebrać złudzenie zacytuję głos p. E. M. z Chyrowa:

Nie głosowałem! Cóż z tego? W dniu wyborów względnie głosowania policjant gminny na zlecenie burmistrza sprowadził z domów prywatnych tych, którzy — osmielił się zaniedbać pojsć do urny wyborczej! Wyraznie! Policjant gminny sprowadził do urny tych, którzy do godziny 10-ej nie głosowali, przy czym **straszono następstwami jakie poczną za sobą wstrzymanie się od głosowania.**—Odważniejsi idąc do urny skreślali kandydatów posejskich — nie chcąc narazić się Policji i burmistrzowi.

Tak! Tchórzostwo wśród nas jest obrzymie...

Tak oto wygląda w praktyce ten przymus moralny, do którego Pan przyznaje państwu pełne prawo. Nie mogę niestety przytoczyć tu dalszych ustępów z tegoż listu, bo nie chcę stwarzać trudności cenzurze. Chcę jednak pana przekonać, że uleganie przymusowi moralnemu tego rodzaju jest nie czem innym, jak tchórzostwem i że sumienie zbiorowe tak samo to ocenia. A więc jeszcze jeden cytat:

Za odwagę z jaką... Pan Redaktor nazkicował swoje przeżycie wyborcze, miejsc. społeczeństwo niezmiernie Wpana ukochało i z czcią największą podaje sobie nazwisko Wpana. Dlaczego? Oto jedynie—dlatego, że prawdę tą, jaką Wpan Redaktor odważył się przelać na łamy MERKURYUSZA, wyjął nam Wpan z naszych serc i z duszy naszej. Wszyscy tu bowiem żyjemy w takiej atmosferze jaką Wpan Redaktor odważył się opublikować! Tak jest! Tchórzostwo i słabość cechuje społeczeństwo. Odważne jednostki wśród tej falangi tchórzów należą do rzadkości, a wszystkiemu winien system wychowania.

Nie spadliśmy przecież z księżycy, wiemy co się dzieje, skąd się wzięła ta „atmosfera“, której Pan nie odczu-

wa, albo też pobłaźliwie ją traktuje. Pisze o tem rozumnie p. W. S. z Podębiec:

W całej rozciągłości solidaryzuję się tu z Panem i przyznaję, że akcja zmierzająca do oczyszczenia obecnej atmosfery polityczno - społecznej godna jest najwydatniejszego poparcia. Ozon prawdopodobnie tego nie uczyni; zdolny jest on do oczyszczenia tylko zwykłej atmosfery. Tymczasem zaś w obecnej atmosferze społecznej naród się dusi, wykołają jednostki, paczą charaktery.

Do wytworzenia tej dzisiejszej atmosfery w społeczeństwie doszliśmy stopniowo. Zaczęło się to dość niewinnie. Po okresie dobrej konjunktury gdy zaczynało brakować posad, zaczęto się interesować personaljami pracowników zatrudnionych: „Czy był w legionach?“ „Czy należał do P. O. W.“ Potem: „Czy należy do B. B.“ „Czy należy do „Strzelca“?“ Jeszcze później: „Czy nabył książkę o legionach“. „Czy kupił portret Marszałka“? „Czy złożył ofiarę na...“ etc. Ofiarni pracownicy zapisywali się, dawali, kupowali, ale czynili to nie tyle może z przekonania wewnętrznego ile dla świętego spokoju“ i aby nie popaść w niełaszkę u władz. Zaczęto się interesować niemal prywatnym życiem jednostek. Rozwinęło się donosicielstwo, serwilizm. Wytworzyła się krytyczna sytuacja: Kto nie chciał bić — musiał być bity. Lepsze jednostki były co najmniej zastraszone i zaniepokojone o przyszłość. Być może, że i ogólny zły stan gospodarczy przyczynił się do tego wszystkiego. Za zduszeniem materialnym, przyszło i moralne. Musimy jednak starać się uwolnić z tego duszącego uścisku i zaczerpnąć pełną piersią świeżego powietrza, bo inaczej z czasem możemy stać się podobni do tych otumanionych gości z „Wesela“ tańczących przy muzyce chochoła.

Nie proszę Pana. To nie jest przymus *moralny*, to nie jest ten sam przymus, jaki jest stosowany wobec młodzieży ze strony „rodziców, otoczenia i nauczycieli“. Po pierwsze: inaczej się traktuje dziecko i dorosłego, a powtóre: tamten przymus po prostu przewycięża naturalną bierność i lenistwo, budząc samorządność

rozumu, a ten — wprost przeciwnie — samorzutność zabija.

Niemoralny jest przymus, który poniża godność ludzką. I niemoralny jest przymus, który jest dokonywany *poza prawem*. Otóż przymus, o którym tu mowa, wykraczał poza prawo obowiązujące w Rzeczypospolitej. A co do poszanowania godności ludzkiej, to przeczytajmy co pisze cytowany już p. R. W.:

Byłem przez lat kilka w kolonjach. Tam z racji mej rasy należałem nietylko do „elity“ ile do panującej sfery, chociaż byłem tylko (nie upadać z krzesła) robotnikiem. Ale tam malajów nie traktowano z taką nonszalancją, z jaką traktuje się u nas ludzi na poważnych stanowiskach, zajmujących je z tytułu swych zdolności i inicjatywy. — Byle urzędniczyna u nas, nagina prawo do swoich własnych potrzeb, do pokazania swojej „władzy“. — Mylne a szkodliwe dla drugich i dla samego Państwa interpretowanie prawa, po to, aby pokazać swoją „wyższość“, swoją przewagę, oto reguła panująca u nas. Krzywdą staje się coraz powszechniejsza, a brak odwagi będący smutnym dziedzictwem niewoli nie pozwala na właściwą reakcję. Krzywdzeni ograniczają się tylko do bezpodległego „sarkania“, opowiadania wśród krewnych i znajomych o krzywdach i nadużyciach prawa i władzy przez niższe organa. Ale wnieść zażalenie? Nie! Tego nie można zrobić. Bo w ten sposób można się narazić na „represję“, które mogą zniszczyć dorobek całego życia.

Nieposzanowanie prawa, dowolność jego interpretacji, mnogość ustaw i praw, które najmarniejszy „urzędniczyna“ wywraca do góry nogami a samą formalistyką może najbardziej dzielnego i wartościowego człowieka złamać, zanim zdoła uzyskać sprawiedliwość.

Gdyby wystąpienie moje było społecznie szkodliwe, inna byłaby reakcja na nie. Tymczasem wywołało ono w ludziach uczucie radości i odprężenia, jakie zawsze wywołuje rozwiązanie dręczących kompleksów, wypowiedzenie prawdy:

Przed chwilą skończyłem czytać artykuł

Wpana Redaktora... Czytałem ten artykuł z drżeniem i podziwem. Nie mogłem go czytać sam, lecz przywołałem sąsiadów i czytałem już do końca na głos...

...wystąpienie Pana, Panie Redaktorze, stanowi dla mnie wielką i radosną nowość. Okazuje się, że są jeszcze w Polsce ludzie odważni, są ludzie naprawdę wolni i uczciwi. Ale nie to jest najważniejsze. Daleko ważniejszą jest okoliczność, że w artykule Wpana nie skreśliła cenzura ani jednego słowa. Jest to fakt doniosłego znaczenia. Dowodzi, że „góra“ nie jest tak zła, jak to się nam szarym prowincjonalnym ludziom zdaje. Wystąpienie Pana budzi nadzieję, że będzie lepiej kiedyś naszym dzieciom. Zachowanie się cenzury zaś stanowi dowód, że uczciwe wystąpienia znajdują należyte zrozumienie.

Fakt, że cenzura „przepuściła“ cały artykuł Pana, każe się spodziewać, że na poprawę niedługo przyjdzie czekać. To też niechaj będą Panu dzięki. Proszę też podziękować cenzorowi. — Pierwszy raz jestem wdzięczny cenzurze, pierwszy raz cenzurę chwalebę. Zdaję sobie sprawę z tego, że moje zapatrywania na jej użyteczność nie mogą mieć żadnego wpływu na jej działanie. Nic nie znaczę, jestem sobie takim zwyczajnym pionkiem, ale kiedy nieraz głowiłem się i domyślałem, co tam było na miejscu białej plamy i snułem różne podejrzenia, dla cenzury i jej uczciwości bardzo ujemne, to teraz ją przepraszam i wyznaję, że może się myliłem. Czytając białe plamy, byłbym przysiągł, że cenzura nie chce pozwolić otwierać oczu, nie mogąc kłamać, nie pozwala pisać prawdy. — Teraz już jak zobaczę białą plamę, może nie będę podejrzewał cenzury samej, będę podejrzewał także autora. Dawniej białą plamę czytałem tylko w jeden sposób: wierzyłem autorowi, nie ufałem cenzurze.

Czy to nie dodatni efekt społeczny? Czy taki fakt nie zbliża obywatela do państwa? W ten sam sposób pisze o cenzurze p. M. R. z Poznania, (który zresztą sam głosował, co uczciwie stwierdza w swym liście). A potem:

Skoro już tą prawdą serdeczną tchnący artykuł ukazał się, to czyż nie może się zdarzyć, że znajdzie się on w ręku jedne-

go czy drugiego uczciwego t. zw. „czynnika miarodajnego“. Na każdym uczciwym Polaku musi wywrzeć wrażenie takie same, jak na mnie i tysiącach innych szarych obywateli, chociażby to był nawet „czynnik miarodajny“ nie mający od dawna żadnego bezpośredniego kontaktu z codziennością społeczną. A od doznanych wrażeń poprzez rozważania do decyzji już droga chyba łatwiejsza, niż od Pańskiego biurka do „miarodajnych“ podwoi.

Dość już. Sądzę, że wystarczy to co zacytowałem. Dodam jednak parę słów jeszcze od siebie, jako merytoryczne rozwiązanie poruszonego przez Pana problemu:

Nie można rozpatrywać „obowiązku obywatelskiego“ głosowania w orderwaniu od tła społecznego, czysto formalistycznie, jak Pan czyni, gdyż wówczas i ja bym mógł stanąć na gruncie ustawy, która *nie nakazuje głosować*, a więc czyni wykorzystanie tego przywileju kwestją sumienia, w które nikomu wglądać nie wolno. Głosowanie nie jest „obowiązkiem“. Obowiązki obywatela wobec państwa wyraźnie określa ustawa. Te obowiązki wypełniam z nadwyżką. Głosowanie natomiast jest *uprawnieniem*, które daje mi niejaki uczestnictwo we władzy.

Otóż ja nie chcę tego uczestnictwa, bo nie chcę współodpowiedzialności za akty władzy, na które nie znajduję zgody w moim sumieniu. Oddaję państwu wszystko, mój mózg i pracę, a ponadto całe moje mienie prywatne. Ale nie mogę dać mu sumienia, bo byłby to „grzech przeciw Duchowi Świętemu“.

Każdy z nas służy narodowi, wedle stopnia świadomości prawdy. Istnieje i tutaj podział pracy. Pańska świadomość prawdy — oceniam ją w pełni, jak na to zasługuje — każe Panu służyć narodowi przez formalne poparcie każdego aktu władzy, wie-

rzy Pan bowiem, że to wzmacnia jego siłę. I to jest dobrze, jeżeli Pan jest w zgodzie ze swem sumieniem.

Ja pojmuję tę służbę narodowi inaczej. Szukam dlań siły nie zewnętrznej, lecz wewnętrznej: „w duchu i prawdzie“. W myśl tych słów Mickiewicza, zacytowanych w liście jednego z Czytelników:

„O ile polepszyście dusze wasze... o tyle powiększyście prawa wasze i rozszerzyście wasze granice“.

Przytoczone wypowiedzi świadczą dobitnie, która metoda jest owocniejsza. Sądzę bowiem, że więcej wyświadczyłem dobremu państwu, wywołując taki odruch świadomości zbiorowej, niż gdybym był wrzucił przekreśloną kartkę do urny.

Jerzy Braun.

P. S. Pyta p. E. I. co sądzą o nawoływaniu do bojkotu wyborów? Oceniam je *negatywnie*. A jak wyobrażam sobie system wychowania narodu, jeżeli odrzucam tego rodzaju „przymus moralny“ — na to dam kiedyś odpowiedź w specjalnym artykule.

Przegląd prasy

W rubryce tej zamieszczamy, o ile możliwości bez komentarzy, przedruki i tłumaczenia z pism *różnych kierunków*, często całkowicie sprzecznych ze stanowiskiem MERKURYUSZA.

(Red.)

DZIENNIK POZNAŃSKI

Poznań, 8 grudnia

Kości zostały rzucone... Wypadki pełnęły Francję w nieubłaganą walkę z socjal-komunistyczną lewicą. Dziwnym zrządzeniem losów rozgrywkę prowadzą ludzie, którzy z tą lewicą przez długi czas pakowali i współpracowali, mianowicie Daladier, który był jednym z założycieli Frontu ludowego i Paul Reynaud, którego

konceptje polityki zagranicznej silnie w ostatnich czasach do komunistów zbliżyły.

Nie jest zabewne dziełem przypadku, że właśnie teraz wracają z Hiszpanji do Francji kombataneci brygad międzynarodowych, zarówno Francuzi jak i cudzoziemcy. Ci ludzie, którzy wysłani zostali do Hiszpanii czerwonej przez organizację partii komunistycznej, znajdują się całkowicie pod jej wpływem. stoja do jej dyspozycji i tworzą zbrojne kadry, wyszkolone w walce rewolucyjnej.

Rząd francuski popełnił wielką nieostrożność, pozwalając tym ludziom wrócić do Francji i nie zastosowawszy wzeleđem nich przepisów prawa, które orzeka, że obywatel francuski, walczący pod obcym sztandarem, traci eo ipso obywatelstwo swego kraju. Tak samo przvjeto z powrotem wszystkich cudzoziemców, którzy przed wyruszeniem do Hiszpanii rezydowali we Francji. Rezultat tego taki, że złożona z Francuzów i Belgów XIV międzynarodowa brygada, która walczyła w Hiszpanii, zorganizowała się we Francji na nowo. Trzy kompletne bataliony „kwateruja“ w Paryżu i w najbliższej okolicy Paryża, czwarty w północnym okręgu przemysłowym. Ludzie gotowi są do mobilizacji każdej chwili, broni dostarczają tajne arsenały partii komunistycznej, rozlokowane na przedmieściach paryskich, środki transportowe są także przygotowane. Łącznie z cudzoziemcami przywódcy partii komunistycznej mają do dyspozycji na pierwsze zawołanie efektywne, odpowiadające dwóm pełnym brygadam międzynarodowym t. j. ponad 8 tysięcy ludzi doskonale wvćwiczonych i zaprawionych do walki ulicznej, sabotażu, rabunków i rzezi.

Ci „weterani“ woiny hiszpańskiej są obecnie na utrzymaniu francuskiej partii komunistycznej. Otrzymują 25 franków dziennego żołdu i dodatkowe gratyfikacje. Ponadto „komórki“ i „reiony“ komunistyczne otrzymały nakaz, by ich wspierały materialnie i moralnie. Chodzi o utrzymanie wśród nich ducha bojowego, o wyrobienie w nich przekonania, że są bohaterami rewolucji powołanymi do nowych wielkich zadań.

W obliczu tych przygotowań do woiny domowej władze, jak dotąd, zachowują postawę bierną, ograniczając się do tłumienia ruchu strajkowego. Minister spraw wewnętrznych Albert Sarraut przed wy-

jazdem do Turcji na pogrzeb Atatürka nie uznał nawet za stosowne zakazać demonstracyjnego powitania, zorganizowanego przez partię komunistyczną na przyjęcie pierwszych transportów powracających z Hiszpanii międzynarodowców. Dzięki temu mogli oni defilować przez ulice Paryża z podniesionymi pięściami, przy rozwiniętych sztandarach i ze śpiewem „międzynarodówki“ na ustach.

(Wyjętek z korespondencji nadeślanej z Paryża).

SŁOWO POMORSKIE

Toruń, 8 grudnia

Francja ma w tej chwili 1.500 samolotów zdalnych do użycia w razie wojny, wobec 5.000 samolotów, którymi rozboządzają państwa „osi“ Rzym — Berlin.

To jednak nie koniec; ostatnie typy samolotów bombowych, niemieckie Dornier, Junkersy, Heinkle i włoskie Savoia 79 osiągają szybkość przeciętną o 100 kilometrów na godzinę większą, niż francuskie bombowce Bloch 210 i Amiot 143. Ta sam różnica szybkości istnieje jeżeli idzie o samoloty myśliwskie, włoskie Breda - Fiat i niemieckie Messerschmidty w porównaniu z francuskimi Devoitine 510.

Większa szybkość samolotów daje możliwość większego zaskoczenia przeciwnika, daje przewagę w walce powietrznej, daje większe bezpieczeństwo przed ogniem artylerii przeciwlotniczej. Przy obecnej przewadze szybkości siły lotnicze Niemiec i Włoch mogą stanowić groźne niebezpieczeństwo dla miast francuskich i ośrodków przemysłu wojennego Francji, podczas gdy niemiecka obrona przeciwlotnicza w dużej mierze potrafiłaby zabezpieczyć Niemcy przed siłami lotniczymi Francji.

Włochy produkują miesięcznie 200 aparatów, Anglia 250, Niemcy 300. Produkcja motorów jest około dwukrotnie wyższa. Tymczasem Francja produkuje miesięcznie 40 — 50 aparatów i 200 motorów.

Wszystkie te dane, zestawione przez anonimowego autora w ostatnim numerze „Revue des deux Mondes“ autor niewątpliwie pochodzi z kół wojskowych (rzucają smutne światło na obecny stan pogotowia zbrojnego Francji).

Trudno zrozumieć, jak w zaledwie półtora roku siły lotnicze Francji tak osłabły w porównaniu z jej domniemanymi przeciwnikami. Jest to w dużej mierze dzieło osławionego ministra lotnictwa, radykała Cota.

Za czasów jego urzędowania wszyscy niemal oficerowie lotnictwa w ciągu jednego roku zmienili garnizony i przydziały. Przeprowadzone bez należytego przygotowania i pośpiesznie upaństwowienie przemysłu lotniczego zahamowało produkcję. Konstruktorzy obawiając się zmian w programach, powstrzymali się od podejmowania nowych prac. Tak samo dyrekcje fabryk zahamowały przygotowania do produkcji nowych typów.

Zmiany personalne w sztabie sił lotniczych i zmiany organizacyjne, zacierające podział uprawnień i odpowiedzialności dokonały reszty.

W rezultacie szereg od dawna gotowych typów samolotów czyli tak zwanych prototypów — nie może się doczekać produkcji seryjnej. Podobno gotowe od dawna prototypy zepewniłyby francuskim siłom lotniczym bezwzględna przewagę nad Niemcami i Włochami. Tymczasem w produkcji seryjnej znajdują się typy starsze, pod każdym względem gorsze od wprowadzonych już masowo do lotnictwa niemieckiego.

System pracy, stosowany przez Niemcy, pozwala na bez porównania szybsze przejście od opracowania prototypu do produkcji seryjnej.

Każda fabryka lotnicza (Dornier, Junkers, Heinkel) posiada biuro studiów, zatrudniające od 60 do 80 inżynierów - projektodawców i 400 do 500 inżynierów niemieckich pracuje nad nowymi typami samolotów. Pracownia każdej fabryki opracowuje rocznie 8 do 10 prototypów, z których jeden lub dwa po pierwszych próbach produkuje się w małych seriach od 10 do 20 sztuk dla szczegółowego wypróbowania. Równocześnie czyni się przygotowania do produkcji specjalnych maszyn, obrabiarek i sztańc, przystosowanych do wyrobu nowego typu. Z chwilą ostatecznego wypróbowania maszyny przejście do produkcji w wielkich seriach następuje szybko.

Tymczasem we Francji zdarzało się, że prototyp ulegał uszkodzeniu, które bynajmniej jeszcze go nie dyskwalifikowało: mi mo to musiano wstrzymać dalsze próby. Kilka prototypów uległo całkowitemu

zniszczeniu, wobec czego musiano całą pracę rozpoczynać na nowo.

Trzeba jeszcze dać, że spodziewając się upaństwowienia, fabryki prywatne wstrzymały lub ograniczyły inwestycje, a po upaństwowieniu, wobec zużycia na zgola inne cele przez rząd Bluma kredytów zbrojeniowych, fabryki nie zostały należycie odremontowane.

Obecny stan przemysłu lotniczego Francji nie odpowiada wymogom bezpieczeństwa. Fabryki leżą w strefach, zagrożonych atakiem lotniczym.

Wreszcie dodać należy znane trudności, wynikające z ciągłych strajków o charakterze politycznym, ze zdemoralizowania przemysłu lotniczego, ulegających agitacji komunistycznej.

W tych warunkach Francja była zmuszona do zamówienia 100 bombowców w Stanach Zjednoczonych — ale nie jest to najlepsze wyjście z trudności. Przystosowanie się do nowego sprzętu, jego remontu i t. p. znacznie zmniejsza wartość samolotów, zakupionych za granicą. Zresztą czynnikiem równie ważnym, jak ilość samolotów, jest zdolność do ich produkowania w szybkim tempie.

(Skrócony artykuł K. Mączyńskiego „*Francja bezbronna w powietrzu*“).

POLONIA-ITALIA

Artakcja i Celnistracja Warszawa, Złoda 7 tel. 641-46

Warszawa, październik *)

Stosownie do rozporządzenia il Duce, wybrano 1800 rodzin kolonistów, z prowincji typowo rolniczych. Rodziny te odpowiadają trzem warunkom kolonizacyjnym: demograficznemu, politycznemu i rolnemu. Rodziny te zostały rozmieszczone na Czwartym Wybrzeżu, a mianowicie: tysiąc w Trypolitanii, a ośmset w Cyrenajce, by zapoczątkować z wiarą i pracowitością, które są odwiecznym dziedzictwem wieśniaków włoskich, najpotężniejszy plan kolonizacji demograficznej, nie notowany jeszcze dotąd w historii.

Siedemset pięćdziesiąt gmin z okręgów: Weneckiego, z Emilii, Abruzzów, z Apulii,

*) Zeszyt ukazał się w grudniu. — Red.

Calabрії, Sycylii, oraz z prowincyj: Mantui, Brescii, i Bergamo, dostarczą kolonistów, a staranny ich wybór dokonany przez Komisariat emigracji wewnętrznej, zapewni, że koloniści ci godnie będą wypełniać swe ważne i odpowiednie obowiązki.

W skład szczęśliwych rodzin wchodzi trzy jednostki męskie zdolne do pracy, reszta, to dzieci w wieku lat trzech do piętnastu. Przeciętna więc rodzina składa się z 9.01 jednostek.

Należy podkreślić, że rodziny te są bezwarunkowo jednolite, nie ma wśród nich dalszych krewnych.

Pochodząc z roli, związane z nią odwiecznymi nierozzerwalnymi węzłami, rodziny te, dzięki swemu doświadczeniu, oraz wytrzymałości, zapewnią bezwzględne powodzenie rozpoczętemu eksperymentowi.

Odjazdy kolonistów rozpoczyna się dnia 29 października. W zależności od prowincji z której pochodzą, koncentracja odjeżdżających nastąpi w trzech punktach: w Genui, Neapolu i Syrakuzie. Z tych zatem portów koloniści odpłyną na siedemnastu okrętach na miejsce przeznaczenia.

Przyjazd do Trypolisu zbiegnie się z dwudziestą rocznicą Zwycięstwa. Natychmiast po wylądowaniu, koloniści będą kierowani do swych nowych osiedli rolnych, gdzie oczekują na nich nowe, czyste domki oraz sto tysięcy hektarów ziemi gotowej do uprawy.

Nie będziemy wymieniali wszystkich szczegółów dotyczących zbiórki kolonistów, ich podróży, oraz dojazdu do kolonii, zaznaczamy, że każdy kolonista po przekazaniu mu należnej działki ziemi przygotowanej już do uprawy, otrzyma domek wygodnie urządzone, stajnię z żywym inwentarzem, oraz narzędzia rolnicze. Prócz tego w odpowiednich szafach i spiżarniach wszystko to, co będzie potrzebne dla niego i rodziny w pierwszych czasach pobytu na kolonii, a więc: 100 kg mąki, 200 kg słońiny, 500 kg drzewa, 10 kg kartofli, 10 kg makaronu, 4 kg ryżu, litr oliwy, litr octu, 2 litry nafty, 2 lampy i różne inne produkty oraz rzeczy.

Widzimy zatem, że kolonista po objęciu swej posiadłości, dzięki zaopatrzeniu go w przedmioty pierwszej potrzeby, może oddać się z całym zapałem i energią uprawie roli.

Prócz tego przez pierwsze miesiące, koloniści otrzymywać będą pensję miesięczną, wysokość której uzależniona zostanie ilością członków rodziny i jednostek zdolnych do pracy. Następnie przez okres 5 lat będzie z czasem mu przysługiwało prawo odkupienia całej posiadłości ratami rozłożonymi na okres czasu 25 do 30 lat. Dane powyżej wymienione ukazują nam najwymowniej typowe cechy kolonizacji faszystowskiej.

Kolonizując coraz nowymi grupami kolonistów wybrzeże libijskie w chwili gdy wchodzi w życie olbrzymi program zaludnienia posiadłości Imperium, Ustrój Faszystowski wykazuje swą wolę by zapewnić przyszłość gospodarczą wszystkim ziemiom nad którymi powiewa trójbarwny sztandar.

(Z artykułu „Kolonizacja rolnicza Libii”).

JUTRO PRACY ISTOTNIE POLITYCZNE

Warszawa, 11 grudnia

To co Włosi robią teraz w Afryce, zaczyna imponować światu. 4.500 klm szos w Abisynii, 3.000 dróg o asfaltowej nawierzchni w Libii. To zaczyna być naprawdę imperium.

Kolonizacja na wielką skalę...

W Tunisie włoskim, wydobywa się niejako spod piasku gospodarcza cywilizacja starej Romy, ale już na modłę naszych czasów, z rozmachem faszystowskim i w formie technicznej w. XX-go: studnie artezyjskie, kanały, ogrody, domy osadnicze jako wzór ferm. I co najważniejsza — dbała o ludność, troskliwa administracja.

Kolonizacja odbywała się najpierw według systemu kapitalistycznego. To znaczy, że rząd włoski udzielał zasiłków spółkom prywatnym na inwestycje pod warunkiem, że zatrudniać będą jedynie i wyłącznie Włochów. Ale kapitaliści, jak to kapitaliści. Woleli siłą rzeczy robotników miejscowych, bo tańsi.

Rząd wobec tego zmienił system. Od kolonizacji kapitalistycznej przeszedł do osadnictwa faszystowskiego. Tworzyć ją drobne, lecz samowystarczalne osady włoskie.

Odbywa się wszystko tak. Rząd nabywa tereny i po zbadaniu, co do czego się nadaje i ile może przynieść, wymierza działki od 10 do 25 ha, po czym je zabu-

dowuje całkowicie, stwarzając wieś wzorową, prawdziwy cud w puszczy. Szkoły świetlice, stadiony, kąpieliska, wodociągi, wszystko to zostało przewidziane i zbudowane pierwszorzędnie. Każdy osadnik przychodzi na gotowe, otrzymuje dodatkowo zasiewy, wyżywienie na rok dla siebie i inwentarza, inwentarz pełny żywy i martwy, nawet meble do domu i jeszcze pomoc pieniężną. Całość ma być spłacona w ciągu 25 lat.

Transporty osadników z Włoch jadą bez przerwy.

Cyfry i daty mówią tu same za siebie. W 1935 r. Libia liczyła 1.200 rodzin kolonistów, w tym 200 drobnych właścicieli. W 1937 r. 2.850, w tym 800 drobnych. W 1938 r. — już 4.550 a w tym 2.600 drobnych. W ciągu tego roku jeszcze ma być osadzonych w ten sposób w Libii — 20.000 osadników. A to znaczy 20.000 licznych rodzin włoskich.

Jeszcze jedno ciekawe.

Nie przyjmuje się w Libii Włochów z kapitałem, którzy chcieliby robić tam interesy. Obowiązuje bowiem zasada, że kapitał ma zastosowanie we Włoszech. Na osady jedzie proletariat. Rząd pragnie aby proletariusz doszedł do własności, aby Włoch nie był wiecznym nędzarzem i żebrakiem.

Państwo chce być dla obywatela matką, a nie macochą.

(Z artykułu „20.000 osadników“).

LE JOUR LECHO DE PARIS



Paryż, 7 grudnia

Mkniemy po olbrzymiej równinie Moulouia, gdzie rzadka tylko rosną krzewiaste złotogłowy, podeptane przez karawany wielbłądów. Przewodnik zwraca się do mnie:

— Proszę zamknąć oczy.

A po chwili słyszę, jak wykrzykuje:

— Patrz pan!

Zamiast prawdziwej pustyni, którą właśnie minęliśmy, ujrzałem przed sobą drogę, piękną drogę jak u nas w kraju, wysadzaną rzędami topoli.

Piętnaście lat protektoratu wystarczyło, aby aż tak przekształcić te okolice...

Im bardziej posuwamy się ku północy, tem bardziej rośnie moje zdumienie.

Francuzi... odnaleźli tu sprzymierzeńca — wodę. Ujarzmili ją, oswoili i zatrzymali jako skarb największy.

Pan Poussier, naczelny kontroler tego terytorjum, tak do mnie mówi:

— Przez opanowanie wód w okolicach Bethu, zwłaszczca potoków, które ściekają z wyżyn Sidi - Sliman, i przez zbudowanie zapory, rozporządzamy stale 250 milionami metrów sześciennych wody. Gdy nadejdzie susza, możemy z tamtąd otrzymać około 10 metrów sześciennych na sekundę. Ukończyliśmy budowę pięćdziesięciu kilometrów kanałów. Dodatkowe kanały pozwolą nam nawadniać trzydzieści tysięcy hektarów. W chwili obecnej dziesięć tysięcy hektarów jest już nawadnianie w ten właśnie sposób.

*

Kiedy się widzi zupełnie nowe miasta, jak Djellabah ze wspinającą plażą, albo przepyszny port Kenitra, dziś nazywany Port - Lyautey, wyczuwa się w tem ciągłość myśli. Plan miasta, ratusz, port — wszystko to było opracowane przez niego (marszałka Lyautey'a — nasz przyp.). Jeżeli zależało mu na tem, aby genjusz francuski docierał do najdalszych zakątków Maroka, to dbał jednocześnie o zachowanie tradycji miejscowych.

Pewnego razu, gdy Lyautey'a mianowano marszałkiem, wzruszony pasła chciał go namówić do zwiedzenia meczu w Fezie, co było dowodem największej czci wobec francuza.

Ale rezydent odmówił:

— Są w Maroku świętości — odparł — których nie wolno tknąć.

Być może, iż właśnie to poszanowanie przeszłości kraju w połączeniu z pasją tworzenia sprawiło, że ten „wielki biały marabut“, jak go nazywali, tubylcy, rozbudował francuskie imperjum kolonialne.

(Reportaż z Maroka, napisał A. de Courson).

PROSTO Z MOSTU
TYGODNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY

Warszawa, 11 grudnia

Aby zrozumieć kim i czym był Co-dreanu, trzeba sobie uzmysłwić, czym była Rumunia i czym jeszcze — niestety — jest.

Rumunia była przez 600 lat w niewoli

feudalizmu tureckiego. Wzbogaceni na handlu Grecy, Mołdawianie, Włosi, przy pomocy przekupstw w Konstantynopolu uzyskali władzę w „księstwach“ naddunajskich. Potem starali się odbić z całym arsenałem łajdactw, dostępnych Wschodowi, zapłatę w dwójnasób, w trójnasób. Nakładano haracze na ludność, zarówno natury materialnej jak moralnej. Łupieństwem, demoralizacją, idącą od przyjazdów dostojników tureckich, którym ofiarowywano żony — niszczone rdzeń narodu, łamano jego kręgosłup. Feudalizm najgorszego gatunku niósł przekupstwo, wszelkiego rodzaju łajdactwo, jednym słowem to wszystko, co nawykliśmy określać — powiem Wschodu.

Ale i wyzwolona Rumunia nie miała idei. Walczyła wprawdzie z tym szlamem, który ją obrósł w niewoli tureckiej, ale go nie zwyciężyła. Przeciwnie, ugrzęzła w nim. Łajdactwa tylko przybrały nowoczesne formy.

Afery korupcyjne sięgały od dołów do samej góry. Rozwiązłość kobiet u najwyższych szczytów państwa — ochraniała zgniliznę, wżerającą się w całe społeczeństwo. Biurokracja zła, głupia, fatalnie płacona, systematycznie demoralizowana bakczyszem, który stawał się tutaj omal systemem narodowym — była wzorem przekupstwa dla wszystkich. Lekomyślni latoryfundyści, kosmopolici wszelkiego autoramentu, nie troszczyli się o sprawy narodu nigdy nie przebywając w swoich dobrach. I ponad tym wszystkim żydostwo, które żerowało na tym kraju, tuczyło się jego rozkładem, niszczyło jeszcze dokładniej wszystko i wszystkich. Pachciarze, handlarze żywym towarem, właściciele domów publicznych, międzynarodowi aferzyści na mniejszą i większą skalę — z tej mniejszości pochodzili. Tu w Bukareszcie powstała kloaka najciemniejszych międzynarodowych spraw, najczarniejszych interesów.

Pasożytnictwo tych międzynarodowych mafij, mafijek i klik ochraniała prasa „rumuńska“ w 90 % zażydzona, broniła przekupując prędkików, palestra w 85% żydowska, finansowały banki żydowskie. Opinia „szczytów“ obojętnych dla spraw narodowych, bezczynna i przekupna pozwalała tumanic naród. Tumaniono go i ssano z niego wszystkie soki żywotne.

I nie było siły, która mogłaby się przeciwstawić temu wszystkiemu, nie było idei, która by rozbudziła drzemiące siły w masach, i nie było młodszyzno-

wu, któryby przypomniał Rumunom, że są Rumunami. Aż przyszedł do tego narodu przehandlowanego przez pachciarzy z pejsami do spółki z pachciarzami arystokratycznymi — Cornelio Zelea Codreanu. Przyszedł z ideą czystą i jasną, jaką daje chrystianizm, przyszedł niosąc odrodzenie. Na materializm odpowiadał — idealizmem, na łajdactwa — umiłowaniem ojczyzny. Niósł to wszystko, co mogło być zmartwychwstaniem dla Rumunii, jej nową formą bytu, i spełnieniem jej narodowej misji.

Codreanu był tym, który z rumuńskiego bardaku tworzył nowy latoryński, zdrowy, chłopski, zrąb odrodzonej Rumunii.

Młoda organizacja szła pod wodzą uduchowionego polityka, i więcej, właściwie mistyka, przetwarzając naród. Brała serca ludu rumuńskiego. Brała tylko tym, co młodość dać może — umiłowaniem sprawy narodowej, umiłowaniem idei. Brała naród całkowicie, bez reszty, tak jak tylko nacjonalizm rumuński brać potrafił.

Ofiarność i bohaterstwo, wytrwałość i męstwo członków Żelaznej Gwardii z jej twórcy się rodziły. Nie złamały go przesładowania, więzienie, nie złamały go odsuwane, przekupne pieniądze. Uparcie dążył do swego celu, niezłomnie zdobywał Rumunów dla Rumunii.

(Z artykułu wstępnego „Ten, który był nadzieją Rumunii“, napisał Ignacy Kleszczyński).

EPOKA

Warszawa, 5 grudnia

W chwili, gdy piszemy te słowa, Francja jest już po strajku generalnym. P. Daladier spróbował okazać, wobec własnej stolicy tę odwagę, zdecydowanie i wolę czynu, której brak mu było w czasie kryzysu letniego wobec zagranicznego przeciwnika. Zwykła rzeczy kolej: pobici przez wroga generałowie usiłują zyskać nowe laury na własnym ludzie.

Czy sprzeciw mas ludowych będzie dość potężny, by zdławić w zarodku próbę faszystacji Francji? Czy uda się zjednoczonym rzeszom robotniczym przekonać o słuszności swej sprawy chłopów i drobniomieszczan, stanowiących bazę, na któ-

rej opiera się partia radykalna? Czy bliska już sesja parlamentu przyniesie obalenie rządu, który po kapitulacji przed faszyzmem w polityce zagranicznej, realizuje dziś żądania faszyzmu w polityce wewnętrznej kraju?

Od odpowiedzi na to pytanie zależy więcej niż los samej tylko Francji.

*

W Czechosłowacji prezydentem został p. Hacha, stary germanofil. Tutaj narazie występuje inny patent berliński: totalizm. Ogłoszony już został program „partii jedności narodowej“ sklejonej ze stron nictw mieszczańskich pod niemalym naciskiem Berlina...

(Z *placzkliwie redagowanej rubryki „Dekada polityczna“*).

Pourquoi Pas ?

Bruksela, 9 grudnia

Nadzwyczajny kongres POB*) odsonił w całej okazałości niesłychany bałagan panujący w łonie tej partii, jak zresztą i w innych.

Nie można powiedzieć, że wzięli się za łby zwolennicy i przeciwnicy Burgos. Nie można też powiedzieć, że spakiści wystąpili przeciwko antyspakistom, gdyż w gruncie rzeczy na tem się skończyło, że

*) POB — skrót nazwy belgijskiej partii socjalistycznej. — Red.

flamandowie powstali przeciwko walonom i brukselczykom!

Każdy przyzna, że jest to zabawne, kiedy dyskusja wszczęta na temat Franco, powstańców i rządowców przeistacza się w burdę, na szczęście bezkrwawą, między walonami i flamandami.

Cóż robić! Zawsze tak było i będzie we wszystkich naszych partjach.

Co do członków POB, to dotychczas starali się dyskutować jak socjalistom przystało i, kiedy sprawa była poważna, udawało im się zapomnieć, że pochodzą z obu stron barjery językowej. Na ostatnie wypadki „Peuple“ rzucił wstydliwą zasłonę, ale sprawozdawcy gazet t. zw. „burżuazyjnych“, którzy otrzymali zaproszenia na kongres, nie omieszkali podkreślić incydentu.

Obywatel Hubin zderzył się z obywatelem Hermanem Vos i przypomniał mu, że niegdyś ów Vos należał do rządu separatystycznego, do Raad van Vlaanderen.

W odpowiedzi na to, były współpracownik Bormsa uniósł się strasznym gniewem.

— My nie pozwolimy — zawołał — aby nam tu ubliżali walonowie!

Łapie papiery, teczkę, kapelus, palto i chce się wynosić. Przyjaciele ciągną go za poły. Robi się zgiełk, przewodniczący zarządza przerwę.

Hubin i Vos zapowiedzieli, że nie będą sobie podawali rąk na powitanie.

(Z artykułu „La crise vue du POB“. Tygodnik „Pourquoi Pas“ jest *pis-mem antyfaszystowskim*).

TRADYCJA STANOWI KULTURZE NARODÓW

Już 5 pokoleń najwytworniejszych sfer towarzystwa stolicy odwiedza lokale

najlepsze wyroby i napoje

L. Lourse

Krakowskie Przedmieście nr 13
pl. Teatralny pod Filarami

Stale koncerty, bogata czytelnia

Bilardy — Szachy — Domina

Okruchy tygodnia

Ponieważ cała niemal prasa przyniosła szczegóły projektu ustawy, zgłoszonej przez posła Stocha, niema potrzeby ich powtarzać. Wystarczy stwierdzić, że jest to jedyna właściwa droga do rozwiązania kwestji żydowskiej: ustawa.

Nie awantury, nie ekscesy, nie wyładowywanie temperamentów — ale ustawa. Ustawowe rozwiązanie sprawy. Bo powiedzmy sobie otwarcie: wrzaskliwe awantury na ten temat są w najwyższym stopniu szkodliwe — rozładowują temperamenty i wpajają w ludzi przekonanie, że coś się w rozwiązaniu kwestji żydowskiej robi, że sprawa posuwa się naprzód.

A NAPRAWDĘ?

Tymczasem to nieprawda. Sprawa żydowska stoi dziś o *wiele gorzej*, niż np. 10 lat temu. Liczba żydów wzrosła. Majątek polski wciąż przechodzi w ręce żydowskie. Procent żydów w handlu, przemyśle, wolnych zawodach, zwłaszcza lekarskim i w adwokaturze znacznie wzrósł. Wśród posiadaczy domów procent żydów wzrósł. Wśród właścicieli ziemskich wzrósł.

Cóż więc za skutek akcji dotychczasowej?

Natomiast zupełnie inny obrót wzięmie sprawa z chwilą, gdy zacnie się



Mało ich będzie chciało iść aż do kresu ostatecznego; konieczną jest zatem rzeczą, aby cel wielkiej rewolucji był im nieznanym. Nie pokazujemy im nigdy więcej, nad krok pierwszy.

(Instrukcja Mazziniego dla rewolucjonistów z dnia 1 listopada 1846 r.).

ją regulować drogą ustawodawstwa, gdy siłą rzeczy zaprzęgnię się do niej aparat państwowy. Ustawa — oto jest dopiero postawienie sprawy żydowskiej.

I tu jest wielka zasługa posłów Duzińskiego i Stocha: zaczynają stawić właściwie kwestję żydowską.

PROSIMY O NAZWISKA

Znowu prasa doniosła o rozwiązaniu 8 łóz masonskich, tym razem polskich. A nazwisk wciąż się nie ogłasza. Czemu?

Przecież mason, po rozwiązaniu loży, nie przestaje być masonem, jak to już wyjaśniliśmy w zeszycie poprzednim. Dlatego kluczem do walki z tą mafją są przedewszystkiem nazwiska. Więc?

Czemu nie ogłasza się nazwisk?

TAJEMNICA NATURY

Jeszcze jedna tajemnica natury: kto właściwie zwyciężył w wyborach gromadzkich? Wszystkie ugrupowania z tryumfem ogłaszają zwycięstwo. Z początku myślałem, że mnie wzrok myli, ale potem, czytam, nie. Czarno na białym, stoi, jak wół: w wyborach gromadzkich wszyscy zwyciężyli, nikt nie przegrał. Kto stawał, to wygrał, jak na loterji fantowej, gdzie każdy los wygrywa.

Ludowcy wygrali, Str. Nar. wygrało, Ozon wygrał. Co się dzieje?

Niema gromady, gdzieby kto prze walił przy wyborach, a to, co się dzieje w niektórych, zakrawa już nietylko na tajemnicę natury, ale wprost na cuda.

Naprzykład w wieluńskim. Urzędowa agencja „Iskra“ z tryumfem doniosła, że w wyborach gromadzkich w wieluńskim Ozon uzyskał przeszło 60 procent mandatów. A znowu Agencja Agrarna obwieściła z niesły-

chaną radością, że w wyborach gromadzkich w wieluńskim ludowcy zdobyli przeszło 80 procent mandatów.

WIELUŃSKIE PROCENTY

To już mamy, znaczy się, przeszło 140 procent. A ponieważ inne partje też przecież zdobyły coś niecoś, chociaż tyle, co jedna z tamtych dwu, no to wypada 220 procent zdobytych mandatów. Zimny rachunek wykazuje więc, że w wieluńskim, wśród każdego stu delgatów jest dwustu dwudziestu przedstawicieli różnych ugrupowań,

Bardzo oryginalny wypadek.

Nietrudno wpaść na pomysł, że ta zagadka przyrody łączy się ze zbieraniem informacji. Przypuszczalnie panowie korespondenci dopytywali się wybranych delgatów o ich przekonania i na tej podstawie robili rachunki. A że polski kmiotek ma też swój rozum, więc rachunki wypadły tak entuzjastycznie.

JAK TO BYŁO

Można sobie wyobrazić, jak to było. Przychodzi korespondent do delegata i mówi:

— No i jak, panie Macieju! Wybrali was?

— Ano wybrali psiekrwie, tylko ambarasu człowiekowi narobili.

— Ambarasu, jak ambarasu, ale zawsze co delegat, to delegat, co ławnik, to ławnik.

— Bo i prawda. Ławnik ławnikiem.

— A wy za kim, panie Macieju? Za Witosem, czy za Ozonem? Czy może za narodowcami?

— Ha! Wola bńska! Ja tam zawdy za zgodą...

— Rozumiem. Za zjednoczeniem narodowym, tak?

— Po prawdzie, to i tak. Niechby ta się już raz pogodzili, choćby i z tem Witosem, i z narodowcami, z tych kłótni to nic dobrego nie wyjdzie.

— Nie rozumiem. Więc za kim pan właściwie, panie Macieju, za zjednoczeniem narodowym, czy za Witosem, czy z narodowcami?

— Ja tam po sprawiedliwości. Niechby już i było zjednoczenie z Witosem i z narodowcami, bo tych kłótników, to tylko do jednego worka wsadzić, zawiązać i kijem wyłócić. Ho, ho, żeby tak na mnie, przestali by się swarzyć. Jużbym ja sposób znalazł na nich psiekrwiów i na Witosa i na zjednoczenie, żeby tak na mnie. Ale po sprawiedliwości, to pan starosta ma rację, że się powinniśmy wszyscy zjednoczyć pod jednym sztandarem...

— Ano właśnie: otóż to!

— Bo i prawda: na co te kłótnie? Nie lepiej to w zgodzie się zjednoczyć pod sztandarem, Witosa wpuścić, z narodowcami się pogodzić, z Ozonem też to samo i z panem starostą, tylko żeby tych psiekrwiów sekwestratorów powietrze wydusiło, to wszystko będzie dobrze. Ja tam zawsze mówię, że takiego nam potrzeba, jak pan generał Skwarczyński, pięknie w radjo powiedział, moja, to aż się popłakała, a ja zaraz do Ozonu ochoty nabrałem i żeby tylko Witosa wpuścili i z narodowcami zrobili zjednoczenie...

— Więc cóż do djabła, panie Macieju? Jesteś pan ludowiec, czy Ozonista?

— Ja po sprawiedliwości... Ja tam z każdym chcę w zgodzie żyć, żeby już raz to zjednoczenie z narodowcami i Witosem nastąpiło, bo przez te kłótnie...

I tak dokoła Wojtuś. Królewski

szczep piastowy nie taki głupi, żeby się zaraz deklarował, co i jak.

ZJENOCZENIE

Gdy już mowa o zjednoczeniu — warto spytać, czy cała ta akcja nie jest trochę wywalaniem drzwi otwartych?

Przecież pamiętamy „dni litewskie“. Przecież wówczas, wyjąwszy „Dziennik Mitznerowy“ i „Polonję“ katowicką, cały naród zjednoczył się w jednym i tem samym dążeniu. Byliśmy później świadkami takiego samego zjednoczenia podczas dni załzańskich.

W sprawie wspólnej granicy z Węgrami jest zjednoczenie zupełne, solidarność opinii uderzająca.

A więc? Zjednoczenie narodowe jest. Konsolidacja dołów nastąpiła.

Tylko? Tylko konsolidatorom jakby szczerości brakuje. Konsolidatorowie chcą zjednoczenia, aby się sami na siłach wzmocnili. A po starym prowadzą swoją politykę, daleką od tęsknot zjednoczenia narodu.

JAK TO BYŁO Z P. BORKOWSKIM

Czytelnicy, zainteresowani naszą wzmianką o p. Borkowskim, b. sekretarzu p. Faltera, mającym udział w wydawnictwie „Wieczoru Warszawskiego“ zapytują o bliższe szczegóły tej sprawy.

Chętnie spełniamy te prośby.

P. Borkowski wszedł do wydawnictw „Goniec Warszawski“ i „Wieczór Warszawski“ w roku 1935, podając się za człowieka prywatnego, który absolutnie zerwał wszystkie stosunki z p. Falterem. Zapewnieniem tym zresztą niektórzy udziałowcy nie ufali i bezstronność nakazuje wyznać, że do nich należał redaktor naczelny tych wydawnictw p. St. Strzetelski.

Gdy później jednak okazało się, że na tle udziałów p. Borkowskiego są próby wywierania nacisku na pismo w kierunku obrony interesów p. Faltera rozpoczęła się przeciwko p. Borkowskiemu kontrakcja, której motorem był p. Strzetelski i w rezultacie p. Borkowskiego ze Spółki usunięto.

GRANICA

— Jaka jest granica miłości polsko-niemieckiej?

— Węgierska.

J. B.

KASZLESZ...

Danutol - Rawski działa wykrztuśnie, łagodzi ataki kaszlu. Do nabycia w aptekach. Skład Główny: Apteka magistra J. Rawskiego, Warszawa, Mariańska 12.

Rejestr MERKURYUSZA

Każdy ¹⁾ mógł z łatwością stwierdzić, że nasze dwa goryle Congo i Ingagi są najzupełniej zadowolone ze swego nowego otoczenia, przeważnie przesiadując na drzewie, wokoło którego zbudowałem ich klatkę.

Wiele czasu spędziliśmy na próbach wytresowania ich i wreszcie Osie ²⁾ udało się wcale nieźle oswoić naszego mniejszego goryla Congo. Natomiast Ingagi nie dał się nakłonić do przyjacielskich stosunków i pewnego dnia nawet tak mocno uderzył Osę w ucho, że z tego powodu cierpiała dosyć długo.

Spróbowaliśmy rozłączyć tę parę,

¹⁾ Wyjątki z książki Martin Johnsona „Congorilla“. Nakładem Trzaski, Everta i Michalskiego, Warszawa, 1938 r.

²⁾ Pieszczotliwe imię żony autora.

ale poprostu nie można było tego wytrzymać. Wrzeszczały, wyły i piszczaly z tęsknoty za sobą wzajem, jakby się bały samotności. Nie pozostało nam nic innego, jak wpuścić z powrotem Congo do wielkiej klatki. Nie rozłączaliśmy też ich już nigdy więcej. Mam wrażenie, że gdyby rozdzielono je na stałe, zdechłyby ze zmartwienia.

Wobec tego zachowania się goryli przyszło mi na myśl, że muszą to być brat i siostra. Rad też byłem, że nie zmuszano mnie do pozostawienia jednego z nich w Kongo. Jestem przekonany, że jeden z nich a może nawet oba nie przeżyłyby tego rozłączenia, zwłaszcza po wyrwaniu ich z rodzinnego gniazda.

Ingagi i Congo sprawiały w swej klatce wrażenie dwojga szczęśliwych dzieci. Bawiły się przez cały dzień jak para urwisów, staczając udawane bójkę, tarzając się po ziemi i bębniąc w piersi. Czasem jeden drugiego przewracał na plecy i lechtał go zębami po żebrach, dopóki ofiara nie zaczęła się śmiać tak głośno i długo, że czasami były to poprostu objawy hysterji.

Bardzo byliśmy zadowoleni, że gorylątko Okaro³⁾ wyzdrowiało, stało się ono bowiem ożywionym i przyjacielskim naszym kompanem. Przyzwyczało się odwiedzać mnie codziennie o godzinie piątej popołudniu i siadało mi na kolanach, gdym pisał na maszynie. Co pewien czas małpa sama uderzała w klawisze, co

³⁾ Trzeci goryl, kilkumiesięczny, nabyty przez pp. Jonhson od murzynów, w stanie bliskim śmierci wskutek rany i wygłodzenia.

zgoła nie było mi pomocą w pracy literackiej. Przy jedzeniu Okaro upierał się, żeby do stołu przysuwać mu stołek obok mego krzesła. Przyczem muszę mu oddać sprawiedliwość, że zachowywał się przy stole lepiej niż niejeden człowiek.

Wież o tem, że przywieźliśmy ze sobą goryle, rozeszła się bardzo szybko i dom nasz stał się celem licznych wycieczek. Jest to poprostu zdumiewające, jakim zainteresowaniem cieszyły się te zwierzęta. Już nawet w powrotnej drodze z Kongo do Nairobi zbiegały się ku nim setki tubylców, co wydaje się rzeczą niezwykłą. Gdyśmy się zatrzymywali na jakimś pustynnem napozór skrzyżowaniu dróg, nagle wóz z gorylami otaczali rozciekawieni murzyni.

Te ustawiczne wycieczki ciekawskich stały się wreszcie zbyt dokuczliwe.

Przed willę naszą zajeżdżały raz po raz samochody i tłum ludzi deptał w ogrodzie trawniki i kwietniki, aby tylko rzucić okiem na małpy. Wywieszałem napisy „Własność prywatna“, „Proszę nie wchodzić“ itp., ale wszystko to nie pomagało. Ludzie najwyraźniej nic sobie nie robili z tych zastrzeżeń. Samochody ich zatrzymywały się przed furtką, wysiadali i wchodzili o każdej porze dnia — rano, w południe i wieczorem. Nie trzeba chyba dodawać, że zadawali przy tem ciągle pytania.

Najczęściej pytano się o to, czy goryle są inteligentniejsze niż inne małpy.

Ponieważ hodowaliśmy już wszystkie cztery gatunki małp czleko-

MEBLE GOTOWE I NA
ZAMÓWIENIE

ADAM JASZCZOŁT

Fabryka i magazyn
5 IADECKICH 19
telefon 8-09-85

FIRMA EGZYSTUJE OD ROKU 1887

kształtnych i obserwowaliśmy je dokładnie, przeto istotnie sąd nasz pod tym względem był w pewnej mierze miarodajny. Podczas podróży na wyspie Borneo zdobyliśmy z Osą orangutana i srebrnoszerstnego gibbona. Teraz mieliśmy z kolei goryle i szympany. Zarówno orangutan jak i gibbon miały już po dziesięć lat, a gibbon wędrował z nami po całym świecie.

Otóż według mnie żadna z tych małp nie przewyższa reszty inteligencją. W prawdzie różnią się one pomiędzy sobą pod względem reakcji umysłowych, ale identyczne różnice widzimy również pośród różnych ludów. Porównanie ich podobne byłoby do porównywania ze sobą umysłowości takich jak prezydent Hoover, Einstein i Lindberg. Myśl każdego z tych ludzi zdąży w innym zasadniczo kierunku i każdy z nich wymaga indywidualnej miary. Tak samo ma się rzecz i z małpami człekokształtnymi.

Szympan Teddy uczył się wszystkiego niezwykle szybko. Widząc, jak coś robię — naprzykład, widząc jak wbijam gwoździe — chwycił w lot sens tej czynności i starał się ją naśladować. Następnego dnia jednak już zupełnie o tem zapomniał. Można go było czegoś nauczyć, ustawicznie powtarzając tę czynność. Ale mimo wszelkich wysiłków nie udało nam się przekonać go, że nie wolno mu kraść.

Natomiast goryl Okara nie prędko orjentował się, o co chodzi, ale gdy coś zrozumiał, nie zapomniał już tego nigdy. Tak więc, naprzykład, obie małpy lubiły marmeladę i Teddy z całą premedytacją nauczył Okara wykradać ten smakołyk. Po stokroć razy Teddy otrzymywał klapsy za to łasuchowanie, ale nie wywierało to na nim najmniejszego skutku. Gdyś-

my jednak Okaro nauczyli, by nie ruszał marmelady, można było najzupełniej spokojnie zostawić go w pokoju z otwartą puszką — nawet jej nie tknął.

Gdy nasz gibbon coś przeszkrobał, chował się w najciaśniejszy kat i siedział tam ukryty dopóty, dopóki, jak mu się zdawało, nie zapomnieliśmy o jego wykroczeniu. Orangutan natomiast nie chował się, ale zachowywał się tak podejrzanie i tak wyraźnie poczuwał się do winy, że często sam zdradzał się w ten sposób z tem, o czem absolutnie nie wiedzieliśmy.

A oto rzut oka na życie naszych trzech ulubieńców rodu małpiego.

Co się tyczy Teddy, to trzeba było go przeważnie trzymać na uwięzi, ponieważ bez przerwy wszędzie węszył i psocił. Momenty jego pobytu na wolności, co zwykle następowało wieczorem, były pełne szalonej radości i dzikiego alarmu. Po spuszczeniu z łańcucha natychmiast jak strzała pędził do domu, prowadząc za sobą Okaro i Bibi⁴⁾ pędzące z taką szybkością, na jaką im pozwalały ich krótkie nóżki.

W ciągu godziny dom dudnił od dzikiej zabawy tej trójki: biegały do góry po schodach i na dół, do pokoju mojej żony i wogóle zagładały do każdego kąta, gdzie się tylko dało.

Podobne były w tem najzupełniej do zgrai psotnych dzieci z Teddym zawsze na czele.

Zaczynało się zwykle od tego, że Teddy pędził za Okaro, z kolei Okaro dopędzał Teddy. Małeńki Bibi, który nauczył się chodzić, starał się, ile tylko było w jego mocy, brać udział we wrzaskach i wyścigach. Ale popchnięty parę razy brutalnie w tych dzikich zapasach, z przykrością cofał się gdzieś w kącik i obserwował

⁴⁾ Małeńki szympan, którego jeszcze karmiono z butelki.

swych towarzyszy, zmieniając w miarę potrzeby punkt obserwacyjny, aby nic nie stracić z tej zabawy.

Kiedy zawodnicy czy wścigowcy przebiegali obok niego, podniecał ich nerwowym okrzykiem „hoo, hoo“ do dalszych wyczynów.

Po tym dzikim wyładowaniu energii Teddy zabierany był do garażu i zamykany tam na noc, Okaro zaś, który absolutnie nie chciał iść do swej skrzynki, ponieważ nie znosił żeby za nim zamykano drzwi, układał się wygodnie na sofie w naszym pokoju. Mężnie usiłował nie zasnąć, jednakże mimo wszystko raz po raz kiwała mu się głowa. Wtedy podrywał się energicznym szarpnięciem. Po półgodzinnych wysiłkach odgrywania roli osoby dorosłej i niepoddawania się snowi opór jego zostawał całkowicie złamany i Okaro przyjmował wygodną pozycję śpiącego maleństwa.

Podobnie jak wszystkie małe dzieci, które upierają się, aby siedzieć ze starszymi, trzeba było i jego zanosić do łóżka. Osa brała go na ręce, odnosiła do jego skrzynki, układała tam lekko, aby go nie obudzić, i zamykała go. Ostrożność ta była niezbędną ze względu na lamparty i hjeny, które polowały częstokroć w naszym ogrodzie. Mały Bibi oczywiście oddawna już znajdował się w swem maleńkiem łóžeczku.

I wtedy wszystko cichło.

Rankiem około godziny piątej kucharz otwierał przedewszystkiem drzwi od „osobistych komnat“ Okaro i Bibi. Wypuszczony Okaro, jak wystrzelona z lufy kula pędził prosto do domu i po schodach do naszej sypialni. Tutaj zaczynał bębnić w drzwi co trwało dopóty, dopóki jedno z nas nie obudziło się i nie wpuściło go do wnętrza. Wtedy Okaro dawał nura pod łóżko Osy, wynurzał się stamtąd i usiłował wciągnąć jedno z nas w za-

bawę. Jeżeli mu się to nie udawało, wsuwał się pod kołdrę, naciągał ją na siebie, zasypiał na godzinę i pozwalał nam czynić to samo.

Skoro jednak upłynęła ta godzina, o śnie już nikt nie mógł nawet marzyć. Jeżeli Osa nie wstawiała natychmiast, wtedy Okaro zaczynał ściągać z niej kołdrę, wdrapywać się na łóżko i włożyć pod nie, skakać na nie i zeskakiwać z powrotem na podłogę, wreszcie gdy to nie pomagało, ściągał wszystkie kołdry z łóžek. Zwłaszcza wydoskonalił się w przeskakiwaniu z jednego łóžka na drugie.

W tym czasie mniej więcej zjawiał się na scenie mały Bibi po pokonaniu z wielkim trudem schodów, których stopnie były za wysokie na jego krótkie nóżki. Odbycie tej podróży zajmowało mu zwykle około pół godziny. Szympanś musiał jednak osiągnąć swój cel. I on również pragnął dostać się do naszego łóžka.

Goryl, zdaniem mojem, bynajmniej nie jest inteligentniejszy niż inne małpy człekokształtne. Jeżeli chodzi o umysłowość, to widać tu pewną wyraźną różnicę, zdaje mi się jednak, że gdyby za pomocą jakiegoś aparatu można było zmierzyć ich intelekty, okazałoby się, że odpowiadają one mniej więcej sobie wzajem.

Naogół biorąc, wysokie mniemanie o inteligencji goryla pochodzi stąd, że ludzie tak mało jeszcze wiedzą o tej małpie; przypisać je również należy wpływom wyobraźni pisarzy stwarzających wokoło postaci tego zwierzęcia jakąś tajemniczość osnutą na mętnych i błędnych zwykle opowieściach, przedostających się do świata cywilizowanego z czarnego kontynentu. Pewni pisarze pragną nas nawet przekonać, że goryl w historii rozwoju leży zaledwie o jeden stopień niżej od człowieka.

Małpy te niewątpliwie posiadają

wiele odwagi, w przeciwnym bowiem razie nie zaczęłyby człowieka i nie narażały się tak bezwzględnie na niebezpieczeństwo. Nie można wszakże powiedzieć, żeby były złośliwe, i nie zaczepiają same nikogo, kto ich nie napastuje. Jeżeli chodzi o człowieka, to poprostu nie chcą mieć z nim nic do czynienia.

Doświadczenie, jakie wynieśliśmy z Konga, pozwala nam stwierdzić z całą pewnością, że goryl nie jest niebezpiecznym zwierzęciem. Prowokowaliśmy je na pewno dostatecznie, żeby rozbudzić w nich chęć uśmiercenia kogoś z nas, mimo to jednak nic nam się nie stało, a nawet nigdy nie byliśmy zmuszeni do strzelania we własnej obronie.

Nie przeczę, że goryl zaatakuje nieraz kogoś a nawet zabije, nie zdarza się to jednak z reguły. Kiedym był chłopcem pasającym bydło w Kansas, mieliśmy złośliwą krowę.

Kiedyś zwierzę to przebiło rogami pewnego chłopca, co wywołało przykre dlań następstwa. Nie możemy jednak z powodu tego wypadku piętnować wszystkich krów mianem zwierząt niebezpiecznych.

Słyszałem dosyć często wyrażenie: „Wyglądał tak dziko jak goryl” i zastanawiałem się, skąd takie powiedzenie pochodzi. Przypuszczam, że przyczyną jego powstania były bardzo dawne opowieści o tem zwierzęciu oraz obrazy tych małych wypchanych przez specjalistów, którzy nadawali twarzom goryli jak najbardziej krwiożerczy wyraz.

Widziałem setki goryli i twierdzę, że rozwścieczone i podniecone wyglądały dziko, groźnie i zabójczo. Gdy są spokojne, sprawiają wrażenie zamysłonych, łagodnych lub zaciękwionych, chociaż wargi ich wykrzywia nieco szyderczy uśmiech.

Czytelnikom,

przyjaciółom,

nieprzyjaciółom

i współpracownikom,

MERKURYUSZA POLSKIEGO

ślemy życzenia

Wesołych Świąt!



Czytelnicy robią gazetę

ZE WSPOMNIEŃ O PPS

Skoro „MERKURYUSZ” przyjmuje zdania sprzeczne z jego zdaniem, zatem mam nadzieję, że zamieści i niniejsze zdanie, nie moje, lecz powstańców z roku 1863.

W numerze 50 w artykule „Ratujmy P. P. S.” wspomina „MERKURYUSZ” o działalności socjalistów w ruchu niepodległościowym, pisze, że „socjaliści tutejsi mają w nagłówku litery, które stały się częścią historii Polski”.

Otóż w związku z tym artykułem pragnę przytoczyć opinię powstańców z roku 1863. Ale naprzód muszę się wylegitymować, że mam prawo ją przytoczyć. Nie z próżności (bo pamiętam zdanie Dantego, że „chwała przodków, to płaszcz szkarłatny, który staje się z każdym pokoleniem krótszy, jeżeli ono nie doda doń własnych zasług”), tylko jako legitymację wspomnę, że brat mego dziadka i mój Ojciec byli więzieni przez austryjaków za rok 1863, stryj mój poległ, a stryjeczny stryj musiał na dłuższy czas emigrować. Ich kolegów i przyjaciół znałem wielu, podaję te nazwiska, które mi pierwsze na pamięć przychodzą. Dwóch znałem już jako zakonników: wielkiego Brata Alberta oraz sybiraka, Kapucyna Ojca Wacława, o którym fama głosiła, że był jednym z trzech księży w Polsce, którzy wiedzieli, gdzie ukryte są Insygnia Koronne. Dalej Adama Sapiehę, Stefana Zamojskiego, Romana Bnińskiego sybiraka, Jana Popiela (jako zamieszkały pod zaborem rosyjskim walczył pod pseudonimem Chościakiewicz od rodowego przydomka Chościak), Józefa Męcińskiego, który nosił trzynaście chlubnych blizn, Stanisława Wodzickiego, Augusta Gorayskiego i wielu innych.

Otóż, gdy wybuchły wypadki roku 1905 (miałem wtedy 21 lat) pytałem się tych we

teranów ostatniej wojny o niepodległość o ich zdanie o „ruchu niepodległościowym“. Zdanie to było rozmaicie formułowane, ale identyczne jako treść. A treść ta da się ująć następująco: „Wszak wiesz, że i w roku 63 byli niestety sztyletnicy. My, którzyśmy za Polskę walczyli, byliśmy wszyscy zdania, że oni kałają lnię Polski. Bo Polska, to świętość, za nią walczyć można jedynie otwartym, szlachetnym bojem“.

Powtarzam, nie jest to moje zdanie, tylko zdanie tych, co za Polskę przelewali krew, znosili Sybir i więzienie. Przyznaję zaś, że to zdanie w pełni podzielał.

A teraz pragnę wypowiedzieć moje własne zdanie odnośnie do twierdzeń „MERKURYUSZA“ co do patryjotyzmu P. P. S. Otóż wyrażenie Mikulskiego, iż „niepodległość Polski P. P. S. rozumie w socjalistycznym tego słowa znaczeniu“ uważa „MERKURYUSZ“ za wymówkę, mającą na celu odparować zarzuty nacjonauzmu, stawiane socjalistom Polskim przez socjalistów innych narodów.

Twierdzę, że wyrażenie to nie było fin-tą, lecz właśnie kwintessencją ideologii P. P. S.

A ponieważ nie lubię stawiać twierdzeń gołosłownych, zatem służę przykładem. Ten przykład, to gabinet Moraczewskiego. Niech mi Szanowna Redakcja powie z ręką na sercu, czy ten gabinet działał w myśl interesów Polski, czy w myśl interesów socjalistycznego internacjonau*. Odpowiedz będzie barzo łatwa. Symbolem działalności tego gabinetu było zdarcie Korony Królewskiej z głowy Orła Białego i wywieszenie czerwonego sztandaru na Zamku Królewskim w Warszawie. Ten gabinet „rozumiał niepodległość Polski w socjalistycznym tego słowa znaczeniu“ — bo tak, a nie inaczej rozumiała go zawsze P. P. S. Nie mówię tu oczywiście o wyjątkach, którym należy się czesc — ale o partyi jako takiej, a wszak ci, których nazwiska „MERKURYUSZ“ przytacza, to są tylko wyjątki.

Młodzi towarzysze z P. P. S., Wy którym życie nie zmroziło gorącości serca i nie starło ze skrzydeł motylego pyku idealizmu i uczciwości! Nie starajcie się ratować P. P. S., bo spotka Was to, co spotka człowieka, który wszedł na trzęsawisko. Czując, że mu się jedna noga zapada, opiera się na drugiej, ta druga grzęźnie, więc znowu na pierwszej, ta idzie głębiej — i tak bez ratunku ginie w ruchomem błocie. Wystąpście z P. P. S., a rzućcie całą Wasz zapal, całą siłę, całe ukochanie na tę szalę, na której znajdują się praw-

dziwi polacy, a nie międzynarodowcy, nadużywający bezprawnie imienia polaków.

Hieronim Tarnowski K.W.

SĄ JESZCZE MŁODZI!

Jeden z naszych Czytelników, bezrobotny, snuje rozważania na temat zatrudniania nieudolnych i zniedołężniałych pracowników w poszczególnych instytucjach. Wymieniwszy zaobserwowane przez siebie wypadki, rzuca uwagę:

Więc jako? W czasach, gdy setki tysięcy bezrobotnych młodych inteligentów daremnie szuka upragnionej pracy, gdy bezrobocie jest najbardziej palącym zagadnieniem społecznym, gdy niby to szuka się różnych sposobów zlikwidowania bezrobocia, Państwo zatrudnia zgrzybiałe kobiety... Pomijam już ogólne cechy starcze, jak słaby wzrok, zmniejszona energia, słabsza sprawność, ale pytam czem można umotywić zatrudnianie zniedołężniałych kobiet. Owe staruszki mają zapewne synów, zięciów czy innych krewnych, i u nich mogłyby znaleźć dogodne przytulisko.

Henryk Grzybulski

(Warszawa).

MOŻE BYĆ LEPIEJ

Do głosu Czytelnika, omawiającego bezcelowość zatrudniania pracowników w podeszłym wieku, można dołączyć uwagi, które nadesłała nam jedna z naszych Prenumeratorek. Między innymi pisze ona:

Należy zredukować mężatki i osoby nie potrzebujące pracy, a dać ją tym, którzy wyczekują jakiegokolwiek zajęcia, a to chyba nie jest niewykonalne. W innych krajach przecież tak się postępuje. Ojczyzna nie składa się tylko z wybranych i tej reszty, która w zupełnej rezygnacji oczekuje swego losu. Dlaczego nie chcemy, aby, jeśli nie całkiem dobrze, było u nas nieco lepiej?

Zofja.

„POLONJA“?

Otrzymaliśmy list z uwagami na temat nazwy statku polskiego „Polonja“, przewożącego emigrantów żydowskich do Palestyny. Czytelniczka nasza tak pisze:

Czy jest do pomyślenia, aby w innych państwach takie statki, nazywały się: „La France“ lub „Deutschland“? Czy jest do pomyślenia, żeby na takim statku np. „Deutschland“, niemiec nie mógł się porozumieć po niemiecku, jak się nam to zdarzyło niedawno na „Polonji“? Steewardzi odpowiadali stereotypowo: „Ich

*) Oczywiście nie! Ale to jakieś nieporozumienie. Nietylko nigdy tego nie twierdziliśmy, lecz przeciwnie: stale piętrzyliśmy dowody, że od roku 1918 P.P.S. zdradziła swą starą tradycję. (MERK.).

kann nicht polnisch, ich kann deutsch, englisch und französisch". Was sind sie? — ryknął jakiś poznańczyk. — Ich bin ein Palästinier — odpowiedział, a uśmiech ironiczny wskazywał, z jaką pogardą mierzy on ten tłum zbaraniałych polaków...

Dr. Jadwiga Turska
(Lwów).

MAMY DOŚĆ TAKICH FILMÓW!

Czytelnik nasz pisze nam, o filmowej przeróbce powieści „Strachy“ i uważa, że oświetlono w niej tendencyjnie sprawę handlu żywym towarem. W konkluzji proponuje:

1) Stworzyć porozumienie wszystkich sprawozdawców kinowych—polaków, którzy by dyskwalifikowali tego rodzaju filmy i robili im odpowiednią propagandę we wszystkich polskich pismach codziennych i perjodycznych.

2) Przeprowadzić uchwałę we wszystkich organizacjach akademickich w sensie hojkotowania filmów produkcji żydowskiej.

Tadeusz Topolnicki
(Leśna Podkowa Zachodnia).

IDYWIDUUM NIE DO STRAWIENIA

O p. Beneszu, a specjalnie o jego wyjeździe z Czechosłowacji, tak pisze jedna z naszych Czytelniczek:

Wobec tego cóż on pocnie na obczyźnie, czy zwracać się będzie do „braci“ o pomoc finansową na potrzeby dnia powszedniego? On, władca i imperator, służka uniżony Stalina i gwiazdy? Czyste kpiny, gdyż całą swoją dużą fortunę ów pan umieszczał stopniowo w bankach zagranicznych, zabezpieczając tym nielegalnym i nielojalnym sposobem swoją przyszłość. Wyjechał zagranicę! Ot tak, jakby na leczenie schorzałej wątroby do Vichy!!

Anna Sr.

Czytelnicy zapytują

Dlaczego kolej nie obniża taryfy osobowej? Miałem sposobność jeździć trochę ostatnio i zauważyłem, że 95 proc. podróżnych jeździ za biletami ulgowymi. Czy nie łatwiej tedy pozostawić konieczne zniżki (np. dla wojskowych) a dla reszty zniżyć taryfę?

Adam Karczewski.

*

Zwracam się z prośbą do tych Czytelników MERKURYUSZA, którzy posiadają czasopisma zagraniczne niemieckie, francuskie, angielskie lub wiedzą, o ta-

kich, które sprawę Codreanu należycie potraktowały, aby byli łaskawi wypożyczyć mi je na pewien czas, względnie odstąpić za zwrotem wszelkich kosztów.

Jerzy Zopoth
Kraków, ul. Basztowa 4.

*

Kto z Szanownych Czytelników może mi wskazać adres p. Stanisława Podoleńskiego, autora książki „U progu“, wydawnictwa X.X. Jezuitów w Krakowie?

Kto zna książkę: „Rządy dawniejszego kościoła“? Kto ją napisał? Kto ją wydał? Czy była kiedyś i czy jest jeszcze na indeksie? Gdzie można by ją wypożyczyć lub przeczytać. Nawiasem dodaję, że jestem katolikiem praktykującym i nie mam zamiaru stać się apostatą.

Antoni Pękala
Mikołów
Rynek 16

Czytelnicy odpowiadają

W odpowiedzi na wywody p. M. J. Wielopolskiej w nrze 57 MERKURYUSZA, Czytelnik nasz oświadcza:

Nie można śląska i jego stosunków mierzyć miarą innych dzielnic Polski. Bardzo drażliwa jest tu kwestja stosunków śląsko - niemieckich a specjalnie: sprawa urojonej wyższości niemieckiej.

Trzeba bowiem pamiętać, że dotychczas niema współzycia między mniejszością niemiecką a polakami na Śląsku. I Pani może dziwić się oburzeniu p. Ireny J. z Chorzowa. Doprawdy dziwne!

Więc w tym celu, aby „dać masom to, co jest z importu najsolidniejszego i najestetyczniejszego“ mamy karmić masy robotnicze i młodzież Chorzowa, Świętochłowic, Hajduk Wielkich i t. d. i t. d. zastrzykami niemieckimi, gdy zaś ci do niedawna wynaradawiani oburzają się — Pani odpowiada, że właśnie obecne filmy niemieckie nadają się dla nich, właśnie dla młodzieży śląskiej są odpowiednie. Nie, Szanowna Pani, o tem co im odpowiada niech decyduje społeczeństwo śląskie.

Ryszard N.
(Kraków).

JWPani M. J. Wielopolska — Zgadzam się zupełnie z opinią wydaną o filmach t. zw. „polskich“... Bolesne te sprawy wolały głośno o zmianę zasadniczą i szybką. Wiele troski poświęciła temu zagadnieniu zdrowo myśląca prasa polska i jak dotąd jedynie film p. t. „Płomiennie serca“ zapowiedział lepszą erę.

Moja krótka notatka umieszczona na łamach „MERKURYUSZA“ miała zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo zbyt częstego wyświetlania filmów w wersji niemieckiej na Śląsku. (np. kino „Apollo“ w

Chorzowie I wyświetla niemieckie dzwinkowce przez sześć tygodni bez przerwy!)

Walczy się na Śląsku stale z t. zw. „dwujęcznością“ w przejawach życia codziennego. Walka jest ciężka, bo istnieją duże trudności ekonomiczne u nas, stąd przeciąganie robotników na stronę niemiecką i dawanie im zarobków etc. etc. Na tle tych stosunków, kino zjawia się jako ostoja moralna! Z ekranu przez długie np. sześć tygodni płynie w masy ludowe słowo niemieckie, niemiecka lekka piosenka i nierządno patryjotyczna niemiecka pieśń. W jakim stopniu może to psuć i psuje robotę narodową, łatwo zrozumieć...

Sądzę, że np. filmy włoskie miałyby też tendencję moralną zdrowe. Są chyba przecie chrześcijańskie wytwórnie angielskie lub francuskie? Jeśli zaś byłyby z tym jakieś zasadnicze trudności, to należałoby tak postawić sprawę, by filmy niemieckie przychodzące do nas były udźwiękowione w języku polskim. Zło o połowę zmniejszilibyśmy.

Jeśli się stwierdza, że film niemiecki stoi na wysokim poziomie etycznym, to czyż tego poziomu etycznego możemy odmówić filmowi p. t. „Pod Twoją Obronę“, który to obraz nakręcili żydzy?

W jednym i drugim wypadku mamy przed sobą „konia trojańskiego“. Żydzi kręcili film, by naładować portfele, a ci drudzy robią interes materialny i propagandę dla siebie (przez nas opłacaną...).

Nigdy zamało ostrożności, gdy idzie o sprawy narodowe.

Irena Juchnowicz.

JWPan Bolesław Markowski (W-wa) — W numerze 57 MERKURYUSZA pisze p. B. M. w artykule p. n. „W zaraniu dziejów“ o węzłach przyjaźni, łączących węgry z polakami. W świetle kronik niemieckich możnaby ten fakt przesunąć o całe sto lat wstecz. Autor artykułu stwierdza, że Jędrzej Żórawek przybył na Węgry jako pierwszy polak, założył misje katolickie i umarł w 980 roku. Niestety. Wyraz „poloni“ jako nazwa naszego narodu zawdzięczamy św. Brunonowi, pierwszemu dziejopisowi Polski. „Monumenta Arpaducna“ (II 135) o Żórawku tak podają: „quidam nomine Zoerartus in hanc patriam (na Węgry) advenit de terra Polonorum et a Philippo abbate, cuius monasterium Zabor nominatur in territorio Nitriensi... situm erat, accepto habitu et Andreas nominatus eremiticans vitam agere studuit“. Żórawek więc przybył na Węgry jako człowiek świecki i zostawił zakonnikami w Zabor pędził żywot pustelniczy i na żadne misje nie chodził. Tembardziej, że w Nitrze już dawno istniało biskupstwo słowiańskie. Nie jest również prawdą jakoby Żórawek umarł w 980 r. Istnieje bowiem w pieśni o męczenniku Pięciu Braci w 1005 r. zwrotka, odnosząca się do Żórawka: „Zoerard jest święty, Zoerardus wielce u Boga przyję-

ty, Ten od Kaliksta świętym ogłoszony, w Polsce i na Węgrzech cudami wstawiony“. A więc Żórawek, czy Świerek, czy wreszcie Zoerardus pochodził z Wielkopolski (pieśń tę śpiewają w Kazimierzu Biskupim) i żył po 1005 r.

X. S. M.

Odpowiedzi redakcji

JWPan Mieczysław R-wski (W-wa) — Podzielamy opinię Szanownego Pana. W przyszłości wyzyskamy jego wywody.

JWPani E. St-a (W-wa) — Pięknie dziękujemy za nadesłany fragment.

JWPani P-a (Chodorów) — Słowa uznania przyjęliśmy z radością. Życzenia Szanownej Pani spełniłyśmy. Łączymy pozdrowienia.

JWPan Ryszard N-icz (Kraków) — Pójdzie. Za życzliwe słowa — szczerze dziękujemy. Pozdrowienia.

JWPani Irena J-icz (Chorzów) — Dziękujemy Szanownej Pani za nadesłane materiały. Słemy ukłony.

JWPan Adam K-wski (Skarżysko) — Przyznajemy Szanownemu Panu w całej rozciągłości rację. Dopóki wszyscy nie będą rozumować w ten sposób, tak długo jeszcze wypadnie znosić zło. Dziękując za życzenia, ślemy mocny uścisk dłoni.

JWPan Andrzej St. (Lwów) — Prosimy zgłosić się w tej sprawie: Inż. Winkler, Żyżyńska 39. Kwestie, o której Szanowny Pan pisze, MERKURYUSZ docenia i zaimie się nią w niedalekiej przyszłości. Cześć!

JWPan A. Cz-wski (Tarnoból) — Umieścimy, być może, tylko częściowo, ponieważ artykuł jest za długi. Pozdrawiamy.

JWPan Włodzimierz I-icz (Dyneburg) — Czy otrzymał Szanowny Pan list od redakcji MERKURYUSZA? Uważamy, że najcięższe będa rzeczy dotyczące Polski. Serdecznie dziękujemy i prosimy o dalsze. Ślemy serdeczne pozdrowienia.

JWPan Witold P-ski (Otwock) — Zm. zostały wydane w Krakowie, a nie w Poznaniu. Przedtem zaliczał się do t. zw. pisarzy katolickich. Prawdopodobnie — Skiwski.

JWPani M. K-ska (W-wa) — Naturalnie. Ale kogo skłonić do tego kroku?

JWPan Tadeusz T-cki (Lesna Podkowa) — Niektóre uwagi Szanownego Pana pójdą do działu „Czytelnicy robią gazetę“. Łączymy wyrazy szacunku.

JWPan Janusz W-icz (Włochy k/Warszawy) — Za życzenia szczerze dziękujemy. My również w to wierzymy.

JWPan Darjusz Z-wski (Poznań) — Słowa Pańskiego uznania są dla nas najcenniejszą rekompensatą. Opłata Pańska dotyczy trzech miesięcy t. j. października, listopada i grudnia. Łączymy słowa szacunku.

JWPan Inż. Michał Ś-wski (W-wa) —

Miły list Szanownego Pana sprawił nam wiele przyjemności. Wcinki z gazety są naprawdę uciechne. Wpisaliśmy Pana na listę prenumeratorów. Odnośny numer będzie wystany. Pozdrowienia.

JWPan Jerzy G-icz (Łuck) — Cieszy nas uznanie Szanownego Pana. Zdjęć narazie nie możemy wysłać, w każdym razie będziemy o tem pamiętali. Pańskie okazowe wysyłamy. Uścisk dłoni.

Przewielebny Ksiądz Witold M-icz (Siedlce) — Prosimy, mile powitamy. Ślemy wyrazy prawdziwej czci.

JWPan Henryk G-ski (W-wa) — List Szanownego Pana zamieszczamy częściowo. Niech Pan wierzy że wszak istnieje jakaś sprawiedliwość. Zaczekamy. Prosimy przyjąć mocny uścisk dłoni.

Czytelnik — Za nadesłany materiał do „Fraszek“ b. dziękujemy.

JWPan Maciej Z-ski (Wielkie Hajduki) — Otrzymałmisy. Podziękowania i pozdrowienia.

JWPan Jerzy G-cki (Drzewce) — Kapitałne. Oczywiście, pójdzie. Redakcja za świetny „kawał“ dziękuje i pozdrawia Szanownego Pana.

JWPan Jerzy Z-th (Kraków) — Z ochotą pomożemy Szanownemu Panu. Pozdrawiamy serdecznie.

Czytelnik (Chorzów) — Za wycinek do „Fraszek“ pięknie dziękujemy.

JWPani Gizela U-cka (Lwów) — I my ze swej strony żywimy nadzieję, że te usiłowania nie pójdą na marne. Ślemy słowa prawdziwej czci.

JWPan Andrzej P-cki (Dąbrowa Górnicza) — Więcej ufności w sprawiedliwość dziejową, która przecież istnieje. Niech się Szanowny Pan nie poddaje wątpieniu. Serdeczny uścisk dłoni. Cześć!

JWPan Kazimierz O-wski (Głęboke) — Wszystkie związane z tem sprawy należy kierować do Wydziału Likwidacyjnego przy Ministerstwie Skarbu, W-wa, Rymska 3/5. Czy Szanowny Pan już to uczynił?

JWPan H. T-wski (Rudnik) — Za informację pięknie Szanownemu Panu dziękujemy i ślemy życzenia Wesołych Świąt.

JWPan Kpt. Ludwik B-wski (Wilno) — Nie kierują nami motywy, o których Szanowny Pan pisze. Musimy mieć dowody w rękę, aby nie pozwolić zatryumfować naszemu przeciwnikom. Jeśli Pan Kapitan jest w posiadaniu dowodów tego rodzaju, prosimy o ich przysłanie. Łączymy pozdrowienia.

JWPan Janusz Dunin M-wski (Poznań) — Artykuł doręczyliśmy p. red. B. Pozdrowienia.

JWPani Adela L-k (Kulików) — Prenumerata jest opłacona przez Szanowną Panią do 1 marca 1939 r. Ślemy pozdrowienia.

JWPan Ziemomysł Z-ski (Pruszków) — Stosownie do zapytania odpowiadamy, że prenumeratę uścił Szanowny Pan do dnia 1 lipca 1939 r.

JWPan Witold Z-cki (W-wa) — Do końca roku 1939. Ślemy pozdrowienia.

JWPan Władysław Z-ski (Gdwnia) — Informujemy, że kwota nam nadesłana dotyczyła r-ku za listopad. Grudzień w takim wypadku pozostaje do uregulowania. Łączymy uścisk dłoni.

Przewielebny O. Marian P-ski (Mościska) — Sprawę załatwiliśmy zgodnie z życzeniem. Łączymy wyrazy prawdziwej czci.

JWPan „Ik“ (Sosnowiec) — W odpowiedzi na list Szanownego Pana odpisujemy, że jest to rzecz zabatrzwania. Przyszłość i aktywność wymienionej w liście organizacji możnaby przedyskutować.

Przewielebny Ksiądz Sewern W-wski (Hruszowica) — List przvzedeł niestety już no umieszczeniu notatki, za co naięrczej przepraszmv. Omineliśmy jednak sami sprawy zbyt drażliwe. Prosimy przyjąć wyrazy prawdziwej czci.

JWPanowie: Dr. vitéz Várady László s. k. országyvélési képviselő, Kanász Nagy Antal s. k. elnök, Varró János s. k. alelnök, Kádár Imre s. k. alelnök, Tiszti karécs választmány: Vass János s. k., Szalai István s. k., Lengyel Imre s. k., Vecseri Sándor s. k., Eszédi József s. k., Keller Rákus s. k., ifj. Lengyel Imre s. k., ifj. Szilágyi István s. k., Toth Mihály s. k., Toth István s. k., ifj. Berényi Gergely s. k., Székó János s. k., Kádár István s. k., Piti József s. k. (Nagyvátké) — Za wyrazy uznania serdecznie dziękujemy. Jesteśmy tepe samego zdania co Szanowni Panowie. Musimy wierzyć i działać, aby osiągnąć wspólny cel. Eljen Magyar-Ország!

JWPan Stanisław K. (Wilno) — Natychmiast po trzymaniu wiadomości o śmierci Codreanu, chcieliśmy tak postąpić, jak o tem Szanowny Pan pisze. Z identyczną inicjatywą wystawiło kilka zaprzyjaźnionych redakcji. Niestety, z przyczyn od nas niezależnych, musieliśmy wyrzec się projektów. Dziękujemy za list i ślemy najlepsze życzenia święteczne. (Z.).

Książki nadesłane

David Irwin i Jack O'Brien: SAMOTNIE PRZEZ PUSTYNIĘ LODOWE. Biblioteka podróżnicza. Tom XVI. 29 ilustracjami i mapą. Trzaska, Evert i Michalski. S. A., Warszawa, Krakowskie Przedmieście 13. Gmach hotelu Europejskiego. Str. 169 i 7 nlb. Cena zł. 9; w oprawie 12.—.

Wyobraźmy sobie, że jeden z bohaterów Jacka Londona zasiadł przy kominku i opowiada swoje autentyczne przygody, a będziemy mieli dokładny obraz treści tej książki. Posiada cały czar opo-

wieści Londona z dalekiej Północy i w dodatku zawiera prawdę. Jest to jedna z najbardziej w swoim rodzaju interesujących książek. (J. B.).

Martin Johnson: CONGORILLA. Kraina karłów i goryli. Biblioteka podróżnicza. Tom XVII. Z 23 ilustracjami i mapą. Trzaska, Evert i Michalski S. A., Warszawa, Krakowskie Przedmieście 13. Gmach Hotelu Europejskiego. Str. 227 i 6 nlb. Cena zł. 9; w oprawie 12.—

Życie dżungli w Afryce Środkowej należy do najmniej zbadanych. Właśnie to życie opisuje p. Martin Johnson. O innych walorach książki Czytelnik będzie miał najlepsze wyobrażenie z wyjątku, który zamieszczamy w „Rejestrze”. (J.B.).

Kazimierz Czachowski: NAJNOWSZA POLSKA TWÓRCZOŚĆ LITERACKA 1935 — 1937 oraz inne szkice krytyczne. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Lwów, 1938. Str. 273 × 3 nlb., 84 ilustracje. Cena 4.80.

„Najnowsza polska twórczość literacka“ jest w zasadzie szkicem na temat literatury, rejestrującym w sposób zwięzły i treściwy, a zarazem sumiennie i obiektywnie, wydarzenia pisarskie lat ostatnich. Jako więc pewnego rodzaju vademecum, książka ta spełnia znakomicie swoje zadanie, będąc zarówno wyczerpującym przewodnikiem dla konsumenta jak i dla badacza zjawisk literackich. Przejrzysty i popularzatorski język rozprawy, przyjemna szata graficzna, obfitość podobizn pisarzy i autografów, składają się na całość godną polecenia. Książkę zamykają trzy sylwetki — charakterystyki przedstawicieli powieści ostatniej doby: Proust'a, T. Manna i Galsworthy'ego. (R.).

Jan Wszebor: GŁOS KRWI i ZIEMI. Powieść z życia mazurów. Nakładem Biblioteki Dobrych Książek. Łomża, 1938. Str. 228. Cena 1 zł.

Dzieje jednego odrodzenia — oto jakby w najbardziej esencjonalnym skrócie można streścić książkę Jana Wszebora. Janek Łada, bohater powieści, jest mazu-

rem zniemczonym przez prusaków, który pod wpływem przypadku uświadamia sobie swoją polskość. Głos krwi każe mu wyżyć wszystkie siły, aby niestrudzoną pracą zrzucić ze siebie piętno obcego wychowania. Zdobywszy wykształcenie w Polsce i poznawszy prawdziwą ojczyznę powraca na Mazury, aby tam budzić z uspienia narodowego swoich rodaków. Przez karty tej interesująco i barwnie napisanej powieści przewijają się wzruszająca i szlachetna miłość Janka do Krzyski Załęskiej. Wśród innych wartości, podkreślić należy piękną tendencję autora w istotnym rozumieniu spraw polskości. (R.).

Adam Górecki: UŚMIECH ŚW. HUBERTA. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1938. Str. 182. Cena 4.50.

Zbiór myśliwskich opowiadań Adama Góreckiego, pełnych pomysłowej obrazowości, barwności i obserwacji jest udanym debiutem literackim. Z prawdziwą przyjemnością czyta się te obrazki, kreślone bezpretensjonalnie, zacierpnięte z materiału, w którym autor doskonale się porusza. Liryka, opisowość, humor i sarkazm — oto elementy składające się na dobrze skomponowaną całość. Książkę warto przeczytać. (R.).

Frafzki

HYDRAULIKA

„Kurjer Warszawski“ z dwunastego grudnia przynosi taki opis:

Kradzież w tramwaju. Antoni Ciszewski, pracownik miejski, stojąc na platformie tramwaju linii 21 idącego w stronę Pelcowizny, koło cmentarza żydowskiego poczuł, że ktoś plondruje mu w kieszeni. Ciszewski ujął na kradzieży jakąś kobietę i gdy odwrócił się do niej, uderzony był butelką w skroń, napełnioną wodą. Ciszewski schwycił się za głowę i...

I zawołał: „O, moja wodo!“

RÓWNANIE SERCA

O nowym zbiorku poezji Juljana Przybosia pisze p. Stefan Rassalski w „Horyzontach“ (listopad):

...owej pełni poetyckiej. Pełni „Rów-

niania serca", gdzie nie są istotne formułowania metaforycznych wizji, dwu czy troistość ewentualnych wrażeńowości, fikcyjne wyobrażeń zastawnych iluzoryzmu zewnętrznych zjawisk świata dla wyrażenia doznania wewnętrznego przez wibrację słowa, otoczonego pewnymi warunkami.

Racja! Koleopteryty nie zastąpią wibracyjnego fordyzmu.

ESPERANTO

O porozumiewaniu się człowieka ze stworzeniami znajdujemy ciekawy artykuł w numerze 48 tygodnika „Wieś Polska“:

Na kota Francuzi wołają: „Minut! minut!“, Niemcy: „Musi, musi!“ na Wschodzie: „Kis, kis“, a nasze „Kici, kici“ jest tego odmianą. Podobne do nas dźwięki wydają przyzywając kota i wszystkie nady słowiańskie. Na konia woła się w różnych krajach: „ho! hou! he!“ i t.d. Włosi poganiają swe muły okrzykiem: „harri!“ a Hiszpanie swoje osły: „burri!“ Na kaczki woła się wszędzie: „Kani, kani, Lanin“, albo „piu, piu, piu!“ albo: „tuj, tuj! tuj!“.

A na autora tego artykułu woła się: „Bul, bul, bul...“.

ORZECZENIE

Dokument urzędowy, wystawiony przez Ubezpieczalnię w Żyrardowie. Nazwisko pomijamy.

Nr. K.P. Żyrardów dn. 28.IV.1938
Orzeczenie

o uznaniu obowiązku ubezpieczenia
Zatrudniony p. Witold X. w charakte-

rze rządcy w majątku Y. na podstawie art. 216 podlega ubezpieczeniu, nie podlega natomiast obowiązkowi ubezpieczenia w zakresie:

I dalej ręcznie dopisano:

...na wypadek choroby macierzyństwa, ponieważ jest zatrudniony w gospodarstwie rolnym.

Za Dyrektora
(podpis nieczytelny)

WYTWORNOSC

W krakowskim IKC (6.X.) o przygotowaniach na przyjęcie gości:

W świecznikach czekają woskowe świece, środkiem stołu świecą w drobnych ustępach patery...

No, no, nie przesadzajmy z gościnnością.

GARSONIERA

Ogłoszenie we lwowskim „Słowie Narodowe“ (2.XII):

Spokojną garsonierę wynajmę zaraz wytwornej pani, Oficerska 30, tel. 118-38.

A komorne jak? Miesięcznie, czy wedle krótszych terminów?

ZACHĘTA

Nad spadkiem liczby urodzin we Francji zastanawia się „Nasza Myśl“ (1.XII.):

Niestety, dotychczasowa praktyka wykazała, że wszystkie te środki nie skutkują. Wypadnie się więc głęboko zastanowić nad nowymi bodźcami, któreby zachęciły mężów do posiadania potomstwa.

I żony wartoby namówić, i żony.

WYDAWCY I REDAKTORZY IULJAN BABIŃSKI I WŁADYSŁAW ZAMBRZYCKI

ESZYT NINIEJSZY OPRACOWALI: Julian Babiński (J.B.), Jerzy Braun (Br.), Czesław Strzebiec Kozłowski (c. j. k.) Stanisław Rogowski (R.) i Władysław Zambrzycki (Z.). Podpis odnosi się do wszystkich poprzednich tekstów nie podpisanych.

RENUMERATA: miesiąc 1 zł. 50 gr., kwartał 4 zł. 20 gr., półroczna 7 zł. 10 gr., Zagr. miesiąc 2 zł. 40 gr., kwartał 6 zł. 40 gr., półroczna 12 zł.

OGŁOSZENIA: za miesiąc wysokości 1 mm. przez jedną spaltę za tekstem 60 gr. w tekście 90 gr. Wszelkie kolumny są dwuspaltowe. Na kolumnę pierwszą ogłoszeń nie przysługują

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Wileza 65 m. 1. Telefon: Redakcji 8-64-65 Administracji: 9-12-32 Konto P. K. O. 28.388

ODDZIAŁ W P. ZNANIU: Fredry 3, tel. 51 32

Przyjęcia Administracji i Redakcji od 9-6 pp. Redaktorzy przyjmują na uprzedni telefon, porozumieniu.

Zakł. Graf. „DZWIGNIA“, Warszawa, Widok 24, tel. 665.39.